Panu Karolowi Vacqueret

w [illegible] upominku

Swoje

Autor

KTÓRA?

J. S. CHAMIEC

KTÓRA?

KARTKA

Z WSPOMNIEŃ PARYSKICH

PARYŻ

Dnia 10. *Sierpnia* 1877 *roku.*

« Non te reputes aliis meliorem, ne forte coram Deo deterior habearis, qui scit quid est in homine! »

(*De Imitatione Christi*, lib. I, cap. VII, 3.)

WSTĘP

Na dworze chłodno. Wicher zimowy
Hula ulicą. Z dachów, na głowy
Rzadkich przechodni, kominy zmiata.
Lepkiego błota warstwa pstrokata
Pokrywa wszystko : kamienic ściany,
I ubogiego płaszcz zaszargany,
I możnych panów złote karoce.
Kropla za kroplą deszczyk plugoce.
Mgłą się brudnawą przesztrzeń odziewa.
Listopad, Paryż, wieczór, ulewa,
To tło posępne, na którem, blada,
Nić mej powieści niech się układa

W deseń nie trudny i nie zawiły.
Z chwilek ubiegłych, z dni tych, co były,
Pozbierane wspomnienia stare,
Gorzkich doświadczeń garść jedna, parę,
O ideałach młode marzenia,
W ślady za niemi śmiech zniechęcenia
I na to życie pogląd surowy,
Iedna część serca, trzy części głowy,
Oto pasemka, które, z kolei,
Na tle tem smętnem, dłoń moja klei.
A gwoli czemu? Może zapyta
Ktoś zbyt spragniony owego myta,
Co się morałem powieści zowie.
Gwoli niczemu! Autor odpowie,
Gwoli mym nudom, szarej godzinie,
Co zda się wiekiem tak zwolna płynie,
Kartce papieru, co, snieżno-biała,
Dłoń moją kusi aby pisała,
Gwoli, wyznaję przepełny sromu,
Gwoli nadziei grubego tomu,

Który, do reszty, mówiąc nawiasem,
Ma mię pokumać z Polskim Parnasem,
Gwoli zabawie łaskawych koła,
Gwoli przyjaźni, co « Rób coś ! » woła,
Gwoli naturze, co, marzeń dymy
Przywykła zdawna układać w rymy,
Gwoli wspomnieniom, co, gęstym rojem,
Hej! Po nad wczoraj noszą się mojem,
Gwoli nareszcie..... Lecz dość! Ni słowa!
Kto ciekaw? Czytaj! Powieść gotowa!

Paryż, dnia 10 *Sierpnia* 1877.

KTÓRA?

OBRAZEK I[szy]

JEDNA

W Paryżu zatem. Tam, gdzie się zaczyna
Długie przedmieście Swiętego Marcina.
Słotną jesienią, o pierwszej, z północy,
Głuchy jęk jakiś żebrzący pomocy,
Rozległ się nagle. — Gdzie zajezdne wrota,
Jednej z kamienic, boso, posród błota,
Stanęło chłopię lat może dwunastu.
Typ nader swojski olbrzymiemu miastu

Starego dziecka, z skrzącemi oczyma
W wychudłej twarzy, w której zda się nie ma
Krwi już ni kropli, i kędy, głód blady,
Wczesnych doświadczeń, i zepsucia jady,
Niestarte niczem wycisnęły znamię.
Chłopię to nasze stanęło przy bramie,
Trzęsąc się z zimna i skostniałe dłonie
Ku przechodzących wyciągając stronie.
Napróżno istnie! Któryż z nocnych ptaków,
Zgranych szulerów, podpitych hulaków,
Co szybko dążą, każdy w swoją stronę,
Mrużąc zawczasu oczy snem zmorzone,
Któryż z nich, pytam, o zimnie a słocie
Zechciałby stanąć i grosz dać sierocie?
Żaden zapewne! Przemknęło ich sporo,
I miłosierdzie nocną sypia porą.

A chłopię czeka. Wybladłemi wargi
Ciągle te same wyszeptuje skargi,
Te same prośby: « Matka moja chora!

Jam dziś nic nie jadł! Chleba i doktora! »
I płaczu jego cierpko brzmiąca nuta,
W poświsty wichru, w plusk błota, wesnuta,
Z pijanym zdala skrzyżowana śmiechem,
Pełnem się zgrozy rozchodziła echem,
Dziką symfonją szału i boleści,
Zwykłą przegrywką życiowej powieści.

Przypadek zrządził, lub, gdy milej komu,
Opatrzność chciała, iż, w tym samym domu
U wrót którego jęczało pacholę,
Zamieszkał lekarz hodowany w szkole
Nędzy i bolu, który sam, o głodzie,
Pierwsze swe kroki stawił był w zawodzie
Któremu potem pomyślniejsza pora
Smętnego z myśli nie wygnała wczoraj,
I który zawsze, choć wzięty, bogaty,
Zgadzał się leczyć, czasem, bez zapłaty.
Zwątpienie! Ucisz twe śmiechy złowieszcze!
Mało ich wprawdzie, lecz są tacy jeszcze!

Przypadek zrządził. Nie! Opatrzność raczej!
Iż Pan Konsyljarz, od jakichś bogaczy
Powracał właśnie z banknotem w kieszeni,
I że u progu własnych swoich sieni,
Gdy drzwi wchodowe pośpiesznie odmyka,
O skurczonego potknął się chłopczyka.

Konsyliarz, rzekłem, w dobrym był humorze
Nie złe miał serce « O tak późnej porze
Co tutaj robisz moja ty dziecino? »
Spytał łagodnie. Odpowiedź jedyną
« Jam dziś nic nie jadł! Matka moja chora! »
Otrzymał na to « Chleba i doktora! »

Prawdzie tej skargi ciągle powtarzanej,
Blada twarz dziecka, obdarte łachmany,
Co mu zaledwie wyschłe kryły ciało
I wszystko wreszcie świadczyć się zdawało.
A więc nasz lekarz, choć nie bez westchnienia,
Nie bez smętnego o łóżku wspomnienia,

I nie bez gniewnych pomruków o słocie,
(Deszczyk na dobre przypruszał w istocie)
Dał jednak jawnej wzruszyć się potrzebie,
I wwiodłszy dziecko na chwilę do siebie,
Tam mu, przy ogniu, co tlał na kominie,
Kazał najpierwej stopy ogrzać sinie,
Dał mu jeść potem, co znalazł na prędce,
I czasu na czczej nie trwoniąc gawędce,
Bez ceregielów, włożył do kieszeni:
Butelkę wina, spory zraz pieczeni,
Bochenek chleba. Z jakichś tam szufladek,
Dwie, czy trzy, flaszki zabrał na przypadek,
I owinąwszy, siebie w płaszcz futrzany,
Dziecko zaś w ciepły kubrak watowany,
Z starej gdzieś w szafie wiszącej odzieży,
Kazał mu wieść się do chorej macierzy.

O wy, co Paryż znacie li z nazwiska,
Lub z tej w nim strony co świetnie połyska,
Wy, co wasz żywot, chwalcie się tem, chwalcie,

Na bulwarowym spędzacie asfalcie
Nie przekraczając, zbyt daleka meta,
Tam « Magdaleny » a tam znów « Vachette'a »
Wy wszyscy zgoła, co miasto, jak człeka,
Sądząc po wierzchu, na kredyt, zdaleka,
W godowej jego zaślepieni szacie,
Co ta pokrywa nawet nie pytacie.
Czy wam nie wola, raz jeden, dla zmiany,
Rzucić na chwilkę Paryż pozłacany,
Paryż zabawy, Paryż dźwięków, śmiechów,
Gładkiej rozpusty i wytwornych grzechów,
Miasto dostatków, stolicę pieniędzy,
Dla miasta bolu i dla grodu nędzy?

Wyborna zręczność właśnie się nadarza :
Śladami dziecka, śladami lekarza,
Jeśliście chętni, to podążcie ze mną
W uliczkę ową wąziutką i ciemną,
Która na prawo, w same jędro miasta,

Wężowym biegiem wpija się i wrasta.

Co krok tam naprzód, co dwa się uczyni
To, jak w sklepionym lochu, czy jaskini,
Trudniej o oddech. Domy nad głowami
Coraz się wyżej wspinają piętrami,
Zgarbione czasem długich lat przebiegiem,
Chyląc się k' sobie dziadowskim szeregiem
Skrywają niebo kamienną powałą.
Jakby gdzieindziej słońce nie jaśniało,
Tutaj, mrok wieczny. Wzdłuż domów, przy ziemi,
Wilgoć, piętnami brudno zielonemi,
Lśni się zdaleka. Gdzie furtka lub wrota,
To kopiec śmieci, lub rów pełen błota,
Jakiego błota! Do domów, z ulicy,
Schodzi się nie raz, jakby do piwnicy,
W dół stopni kilka. W oknach, co przy bruku,
Miast szyb stłuczonych od ciągłego stuku,
Szara bibuła. Okna te czasami,
« En guise » firanek, brudnemi płachtami

Wpół przesłonione, taką zieją wonią,
Iż oddech prędzej zatulając dłonią,
Śpieszmy się odejść. Opodal, na prawo,
Szynkownia dziką rozlega się wrzawą.
Obok, sypialnia dla podpitych bliska,
Krwawą latarką kordegarda błyska
A jeszcze dalej, gdzie, sromotne znamię,
Olbrzymi numer widnieje na bramie,
Zgięta we dwoje, straszna postać babia,
Do lupanaru przechodzących zwabia.
Nie wdzięcznyż obraz? Jeśli nań, do tego,
Spojrzym przez siatkę deszczu jesiennego,
Gdy wiatr nam chłodny, wązkim mknąc przesmykiem
Smętnym nad uchem zahuczy puszczykiem,
Gdy stopa nasza, dość jednego kroku,
Po śliskim bruku zbłądzi do rynsztoku,
Kiedy nareszcie (od czasu do czasu,
Wśród Paryskiego trafja się do lasu
Szczególniej słotną jak dzisiejsza dobą)
Gdy, gdzie dwie ulic krzyżuje się z sobą,

Z sążnistą pałką dopatrzym tam draba,
Co nas o żywot, lub kieskę nagaba,
A, to wyznamy, iż miał racji dużo,
Lekarz, wzdychając przed taką podróżą.

Jest kres wszystkiemu. Dla tej to przyczyny,
U progów jednej ohydnej ruiny,
Chłopię stanęło, szepcąc: « Tutaj Panie,
Na szóstem piętrze, matki mej mieszkanie »
Lekarz znów czegoś mrucząc pokryjomu,
Wszedł jednak. Za nim, wejdźmy też do domu.

Piewsze dwa piętra, a od biedy trzecie,
Brudne, lecz względnie mogłyby ujść przecie.
Czwarte niechlujstwa i nędzy powłoką
Najmniej wybredne ubodłoby oko.
Piąte krzyk może wyrwać oburzenia.
Szóste jest czemści, co już bez imienia.
Wschody znikają i za wstęp do góry,

Służy drabina. Dwa nadgniłe sznury
Zamiast poręczy, wiszą ze stron obu.
Podnieść tam głowy nie masz już sposobu
Jeśli się nie chce, wątpię by się chciało,
Czaszką o twardość próbować z powałą.
Ściany i śladu niechronią pobiały,
Wiatr ją poźwiewał, deszcze pozmywały.
Podłoga? Gdzie zaś! Nie masz tam podłogi!
Na czemś bez nazwy stawiasz twoje nogi,
Na czemś złożonem ; z próchna, z błota, z gliny,
Z robactwa wreszcie, co, z każdej szczeliny,
I z każdej dziury, jest ich podostatkiem,
Czarno ruchomem wysiewa się stadkiem.
Okropność! Zgroza! O! Na cztery wiatry
Cygańskie w polu rozłożone szatry,
Jakim się pysznym obok zdają gmachem!
Pod w gwiazd miliardy wysrebrzonym dachem,
Na twardej ziemi, na świeżej murawie,
Cygan magnatem nazwać się jest w prawie!
Jego tam nędza, chociaż znieść ją trudno,

Jest jeszcze szczęściem, bo nie jest tak brudną!

O nędza miejska! O pauperyzm grodów!
To najplugawszy ze społecznych wrzodów
Strach nań popatrzeć! Na wsi hej! Wsród sioła,
Ubóstwo nigdy wstrętu nie wywoła
Rozczuli raczej. Na tle ciemnych gajów,
Łąk szmaragdowych, srebrzystych ruczaiów,
Dziadowskie sakwy, żebracze łachmany,
Pewien wdzięk jeszcze chronią niekłamany,
Pewną poezję. W polu gdzieś, przy drodze,
Biedna lepianka, choć obdarta srodze,
Choć przygarbiona, choć nawet bez dachu,
Wzbudzi zajęcie. nie wzbudzi przestrachu.
Bo ją natura, matka szczodrobliwa,
Swym majestatem ze wszech stron przykrywa,
Bo ją natura, pociecha w boleści,
Czasem nad pałac magnata wypieści.
Gdy mur się wali, pamiętając o tem,
Wnet go powojów poupina splotem

Gdy okno zbite, to, środek jedyny,
Wnet je gałązką przesłoni leszczyny;
Gdy w dachu dziury, doskonała rada,
Mchu aksamitem zaraz je zakłada.
I biedna chata, choć się w ziemię chyli,
Chociaż upada, do ostatniej chwili,
Wdzięczy się oku artysty, malarza,
Rozczula, rzekłem, ale nie przeraża.
Właściciel onej, starzec białowłosy,
Choć często głodny, częściej jeszcze bosy,
Pod jej w gruz jednak lecącem sklepieniem,
Łacniej się, sądzę, godzi z przeznaczeniem.

Lecz nędza miejska! Oh! gorsza o tyle
Nędza zamknięta w czterech ścian mogile!
Nędza bezczelna, nędza jawna, blada,
Na którą żadna zasłona nie spada
Z kwiatów, z zieleni! i której, w rozpaczy,
Żadnych się pociech, promyk nie majaczy!

Miast jako na wsi przepychów przyrody,
Co wszystkich zgoła zaprasza na gody,
Co wszem dostępna, nędzarza, bogacza,
Wdzięki swojemi zarówno uracza,
Tu, zbytek ludzki, jak na pośmiewisko,
Często przy biednej rozsiada się blisko,
Tysiącem ponęt stworzonych nie dla niej
W zawistnych katusz nurza ją otchłani,
Tysiącem ponęt, na każdziutkim kroku,
Jej zgłodniałemu urąga się oku,
I gdy żądz krocie w duszy jej wywoła,
Nasycić żadnej, ani chce, ni zdoła.
O nędza miejska! Nędza na poddaszu!
Patrz się! Patrz ciągle! Niewierny Tomaszu!
Oto przed tobą, jako zmoże pióro,
Głąb jej siedliska skreślimy ponurą!
Oto wraz z tobą, śladami chłopczyka,
Co lekarzowi drzwi matki odmyka,
Wejdziem na chwilkę, tam, kędy los mieści,
Jedną z stron głównych niniejszej powieści.

Cztery ścian nagich, cztery puste kąty,
Dawno wystygły komin w środku, piąty,
Przed nim, ironjo! Jakby ciepło dawał,
Pęk zgniłej słomy, starej derhy kawał
Z kupy łachmanów, z kupy śmiecia, Boże!
Pies by się na niem przespać wzdrygał, łoże.
Ot już i wszystko, chyba że, wytrwali,
Nie chcąc i drobnych pominąć detali,
W tym Rembrandtowskim niedoli obrazie,
O każdej murów napomkniemy skazie.
Chyba że wspomnim o tej pajęczynie,
Co tryumfując ściele się w kominie,
Chyba że wreszcie, za słuchaczów zgodą,
Glinianej czary nie zapomnim z wodą,
Co stoi w kącie, szczęściem, że nie pusta,
By zwilżyć nieco wyschłe głodem usta.
Ot już i wszystko!

Na łożu kobieta
Resztkami starej opończy przykryta.

Swiatło kagańca opromienia czasem
Lica jej bolu skrzywione grymasem.
Brzydki to grymas! Gdzie się nie pokaże,
Czy jasnych panów wykoszlawi twarze,
Czy jako tutaj, nie pierwszy raz pono,
Zmarszczy żebraczki twarz ozwyczajoną,
Bladą skroń starców, świeży buziak dzieci,
Mniej lub też więcej, lecz zawsze oszpeci.
Szczęściem bez chmurek harde dotąd czoła,
Wam się z nim także nie rozminąć zgoła!
Wcześniej czy później, od klęsk wspólnej doli
Rzadko li komu los umknąć pozwoli.
Potrzeba cierpieć! Łzy są koniecznością:
A czy ich źródło zowie się miłością,
Tęsknotą, żalem, wstydem, czy niedolą,
Zarówno pieką i zarówno bolą!

Błogo tym którzy, w chwilę próby oną
Na łez obtarcie znajdą dłoń rodzoną!
Błogo tym którzy, w rozpaczliwym jęku

Ufnie na chętnym wśpierają się ręku!
Błogo tym których, żałośne westchnienie,
Miast się o nieme obijać sklepienie,
W pełnej szacunku dla nieszczęścia ciszy,
Inne współczucia spotka i dosłyszy!
Błogo tym, błogo!

Nie wszystkim, nie wszędzie,
Los nić sympatij w pasmo życia przędzie!
Są opuszczeni! Ani wam się marzy,
Ilu to Hiobów, ilu to Łazarzy,
Jęki wyrwane cierpieniem bez miary,
Ludnej stolicy zagłuszają gwary!
Ile dramatów bez echa, bez wieści,
Czarnych jej murów lada zakąt mieści!
Ile tam codzień bladych ofiar losu,
W nurtach rozpaczy tonąc bez rozgłosu,
Z jękiem na uściech w grobu schodząc ciemnie,
Na dań litości wygląda daremnie!

Przykład z tysiąca :

Od rana, od świtu,
O grosz jałmużny konieczny dla bytu,
Wyciągać dłonie, znane już Wam przecie
Z toku gawędy, powlokło się dziecię.
Pieczę nad matką, co ją do barłogu
Przykuła niemoc, zdając Panu Bogu.
Nikomu więcej nie zdać tam jej zgoła
W maszyny jakiejś pochwycony koła,
Ojciec wyrobnik, przed miesięcy parą
Zginął, cudzego zarobku ofiarą,
Cichym żołnierzem postępu i pracy,
Mniej słynnym od was panowie wojacy,
Lecz, znak pytania żartem li położę,
I korzystniejszym i zacniejszym może?
Wdowie swej spadek legując bogaty :
Aż dwie zaległe komornego raty,
Scherlane zdrowie, i, wsparcie jedynie,
W dwunastoletnim niedorostku, synie.

Smutna historja!

Smutna i nie nowa.
« Dziecko do szkoły! Do szpitalu wdowa! »
Jak gdybym widział, krągły optymista
Posłużyć radą z okazji skorzysta.
Lecz radzie jego, w zbyt przeważnej mierze,
Praktyczną bywać tylko na papierze.
Szpital i szkoła? Nie łudź się dobrodziej!
Do tych tak każdy, byle chciał, nie wchodzi.
Potrzeba nieraz krzątań i zachodów,
Świadectw bez liku, bez liku dowodów,
Protekcji nawet, by otworzyć wrota
Tych dwóch przytułków. Nie łudź się! Hołota,
Cała się w jednej nie mieści rubryce,
I hierarchiczne ma także tablice.
Świat miłosierdzie, z cnót najbardziej rzewną
Nie mógł zostawić bez cugli, to pewno,
Musiał ją ująć w karby i karbiki.
Daje bezwzględnie tylko naród dziki.

Wsparcie, jałmużna, rzucone po prostu,
Fi! Zachodniego niegodne pokostu.
Dobre tam, niegdyś, w barbarzyństwa chwili,
Kiedyśmy jeszcze z kredką się kłócili,
Kiedyśmy żyli na oślep, bez faktów,
Cywilnych stanów, rejestrów, a aktów.
Dziś co innego. Wszystko się zmieniło,
Dziś, by nam serce litością zabiło,
Dziś, by nieszczęsny mógł mieć do niej prawa,
Trzeba, by naprzód, jak każe ustawa,
Wyjął na pokaz, w zanadrzu chowany,
Ledwie nie patent i to stemplowany.
A polityka? A religja? Oto:
W życiu ojcowskiem poszperaj sieroto!
W przeszłość mężowską bież wspomnieniem wdowo!
Ażaliż wszędzie gładko w niej, różowo?
Ażaliż nie ma jakich tam wybryków?
Kilku, choć głuchych, wolności wykrzyków?
O « Czarnej Zgrai », lud to na to krewki,
« Berenger'owskiej » powtórzonej śpiewki?

Ażaliż nie ma, broń Boże od zguby!
Godziny jakiej, spędzonej gdzie kluby?
Z daty tej smętnej, krwi zlanej potokiem,
Piędziesiąt drugim, co się zowie, rokiem,
Na cały żywot nie spadaż tam, blady,
Choćby maluczkiej odcień barykady?
O bo co z niemi w ojcowskiej przeszłości,
To wam bez świata obejść się litości!
Nie dla was ona!

Ona dla pokornych,
Wieczyście giętkich, i wieczyście sfornych,
Dla tych, co nigdy, w żadnej życia chwili,
Jękiem protestu ust nie poplamili,
Dla cichych, którym, z Bożej obietnicy
Na rajskiej kiedyś dziedziczyć stolicy,
A którzy tutaj, przed swem Wniebowzięciem,
Idąc w zawody z pokornem cielęciem,
Nadgrody przyszłej już biorą zadatek,
I ssać umieją po dwie często matek!

Wdowa się nasza w ich rzędzie nie mieści,
Fakt skonstatujmy, wracając do treści,
Do drzwi jej nigdy, bodaj że, nie puka,
Dłoń oszytego w liberję hajduka,
Parę sztuk złota w hojnej niosąc dani,
Od w filantropję bawiącej się pani.
We drzwiach jej nigdy, sądzimy z pozoru,
Nie widać czarnych wysłańców klasztoru,
Z datkiem od ojców, którzy, nie nowina,
Snać zapomnieli Samarytanina,
Bo siejąc, sieją, tam li tylko, zgoła,
Skąd plon możebny, gdzie zagon kościoła.

Pusto więc tutaj. O! Chwile goryczy!
Sam na sam z głodem, co w wnętrznościach krzyczy,
Sam na sam z troską, z boleścią, z strapieniem,
Z smętnego wczoraj natrętnem wspomnieniem,
Z smętniejszych jeszcze dni jutra obawą!
Krzycz zachowawco! Krzycz! Służy ci prawo!
Krzycz na przewrotne domagania ludu!

Na bunty gminu! Gdyby, drogą cudu,
Los choć na chwilę dał ci poczuć nędzę,
Gdybyś, w ludowej bluzie czy siermiędze,
Ciało twe sobku, choć na dzień zobaczył,
Gdybyś się z wilka w owcę przeinaczył,
Krzyczałbyś także, lecz na inne tony,
Lecz za postępem gardłując! Szalony!
Kto innych rzeczy gwałtem dojrzeć pragnie
W socialistycznych szamotań się bagnie!
Walka to tylko, stara jak wszechświaty,
Kain ją, z Ablem, prowadził przed laty,
Walka, szermierzy śmierć chyba rozdzieli,
Z tymi co mają, tych, co mieć by chcieli! —
Komu współczuć? Ha! Niech służy serce,
Za przewodnika sympatji iskierce!
Niechaj ją każdy mieści gdzie ma wolę,
Ty — wiecznie w górze, a ja — wiecznie w dole!

Zegar kościelny, w pobliżu, złowrogo,
Północ wydzwonił. Nikogo! Nikogo!

Minęła pierwsza. Z dołu tam, z ulicy,
Ostatnich gwarów drzemiącej stolicy,
Echo dobiega. To powóz czasami,
Nadtłuczonemi zadzwoni szybami,
To ktoś w sąsiedztwie, do domu z powrotem,
Bramę za sobą zatrzaśnie z łoskotem;
To pies zaszczeka, to, coraz to rzadziej,
Podochoconej piosenka czeladzi,
Urwanym dźwiękiem zabłądzi do góry;
Niebo się w szare przyodziawszy chmury,
Wciąż bluzga deszczem. Gdy cisza nastanie,
Słychać na dachu wody pluskotanie.
W bliskiej latarni, pod wiatru podmuchem,
Gazowy język wściekłym gnie się ruchem,
I w okna smętną błyskawicą mruga;
Znów zegar słychać. Bije raz, dwa. Druga.

A! Wreszcie! Kroki. Po wschodach, powoli,
Mijają piętra. Lekarz się gramoli
Z trudem na szóste, po stromej drabinie,

Ostrożność radząc lżejszemu chłopczynie.
Ot, już są w drzwi. Kobieta z barłogu
Podnieść się chciała i podbiedz do progu.
Zawiodły siły. Daremnie. Nie może.
Z głuchem westchnieniem opadła na łoże.
Lekarz się nad niem nachylił. Z uwagą,
Mierzy oczyma tę postać w pół nagą,
Do piersi chorej ucho swe przykłada,
Pulsa jej skroni i pulsa rąk bada,
Pomyśli chwilę, to potrzęsie głową,
To askultacje zaczyna na nowo,
Zmarszczone wreszcie czoło wypogodzi,
I szepnie z cicha: « Ta kobieta rodzi! «

Rodzi kobieta! O igrzysko doli!
Kiedy gdzieindziej magnat się mozoli,
Iż jest ostatnim z przesławnego domu,
Że wielkich włości nie ma przelać komu,
A Bóg mu dobry poskąpił dzieciną;
Kiedy skądinąd rzewne prośby płyną,

Do Nieba, w górę, o dziecko, o jedne,
Los tem dziecięciem ciska między biedne!
Gdzie mu pierś wyschłą do ustek przyłożą,
Gdzie się tym gościem zasmucą, zatrwożą,
Jak jednym więcej na ziemi Ilotem,
Troską dni przyszłych, obecnych kłopotem!

Rodzi kobieta! Z twórczej dłoni Pana
Znowu duszyczka na walkę skazana,
Spływa tu na dół, i swoje przybycie
Zwiastuje płaczem. Płacz, to bodaj życie!
Biedna duszyczko! Lepiej by ci było,
Zostać tam, kędyś, zadrzemaną siłą,
Czemści bez formy, i czemś bez imienia,
Gwiazdeczką może górnego sklepienia!
O lepiej by ci, w przestrzeniach bez końca,
Pławić się, bujać, wśród promyków słońca,
Nie wiedząc nigdy, co ten żywot znaczy,
Jak w nim od szczęścia blizko do rozpaczy,
Jaki on głupi, bez sensu, jak zwodzi,

Lada użycie jak w nim przesyt rodzi,
Jak dla błahego, bezdarnego, celu,
Sił i cnót, od nas, wymaga on wielu,
Jaki on krótki, koniec przy początku,
Jak, w tym nietrwałym, w tym pajęczym wątku,
Ile dni, nici, tyle węzłów mieści,
Smutków i zgryzot, żalów i boleści!

Rodzi kobieta! Konsyljarz w kłopocie,
Zapomniał zgoła o łóżku i słocie,
Zwija się biedak, jak w ukropie mucha,
To przy kominie na ogień podmucha,
(Co go z polanek wziętych u sąsiada,
Nałożył właśnie) to chorej podkłada
Płaszcz swój pod głowę, to warzy coś, cedzi,
To za choroby postępami śledzi.
Nie koniec na tem: W szmat starej koszuli,
Niemowlę na świat narodzone tuli,
Kilku kroplami zagrzanego mleka,
Roztwartą płaczem buzię mu zamyka.

Lub też do chorej wracając na nowo,
Siły jej krzepi pociechy wymową.
I tak, bez ulgi, ciągle się przetwarza,
Z doktora, w księdza, i z mamki, w kucharza.

Darmo! Los w górze pasmo dni rozprzęga!
Nic nie pomogła lekarska mitręga.
Równo ze świtem, z braku sił w połogu,
Niewiasta nasza ducha dała Bogu,
Szeregi sierot, nie łatwo te zrzedną,
Jedną sierotką pomnażając biedną! —

W okna poddasza, nagie, bez firanek,
Zagląda dżdżysty jesienny poranek.
Bladem swem światłem rozwidnia na poły,
Wnętrza onego obraz nie wesoły.
Na łożu, zwłoki. Płaszcz lekarski duży,
W braku innego, za całun im służy,
W głowach u trupa, ot, komedja stara,
Pryskając, topnąc, kopci się świec para.

Doktor odchodząc, znużonym był srodze,
Do drzwi sąsiadki zapukał po drodze,
Mówiąc iż wróci i prosząc, by chciała,
Zostać przy dzieciach, dopilnować ciała,
A więc ta klęczy, i, w prostaczej wierze,
Za duszę zmarłej odmawia pacierze.
W kącie, nieszczęścia beźwiedna przyczyna,
Kwili niemowlę, przy niem, nasz chłopczyna,
To, w stronę trupa spogląda z przestrachem,
To, prozo życia! zwabjony zapachem,
Zerka łakomie ku resztkom pieczeni,
Co ją konsyljarz przyniósł w swej kieszeni.
Z dołu, gwar leci: miasto się zbudziło,
Bębnią po bruku powozy, aż miło,
Słychać przekupek monotonne krzyki,
Wieszczące towar. Wojskowej muzyki,
Echo skądś bieży. W pobliskim kościele,
Być może chrzciny, być może wesele,
Ogłasza dzwonek. Sąsiaduje z bliska
Wszystko w stolicy, i, tutaj kołyska,

Grób tu, to życie. —

Opuśćmy zasłonę.
Czas nam gdzieindziej, pora w inną stronę.

OBRAZEK II

—

DRUGA

Tej samej nocy, i o tej że chwili,
Gdy to się działo, cośmy zamieścili
W pierwszym niniejszej powieści rozdziale,
W wzręcz przeciwległym stolicy kwartale,
Po za Sekwaną, gdzie, z nad dachów gminu,
Strzela kopuła « Tomasza z Akwinu »,
W jednym z pałaców sterczących tam dumnie,
Dwornia przed wejściem rojąca się tłumnie,
Ruch wewnątrz, w oknach biegające cienie,
Jakieś niezwykłe wieściły zdarzenie.

Co chwila z bramy, na oscież otwartej,
Wybiegał goniec, jeden, drugi, czwarty,
Co chwila powóz, szybko, choć bez huku,
Po słanym słomą pędził kędyś bruku,
Co chwila inny, jak widać z powrotem,
Z głuchym przed ganek zajeżdżał łoskotem.
Ktoby chodnikiem przeszedł się dwa razy,
Z ust do ust mknące słyszałby wyrazy :
« Janie! Bierz powóz! Prędzej! Po doktora »
« Tomasz! Gdzie leki? Margrabina chora! »

Doktora? Leki? Patrzcie! W wstępnej sali,
(Na konsultację widać się zebrali)
Tuzin ich radzi. Patrzcie! U komina,
Pod miksturami wielki stół się zgina.
Farmaceptyczną już przesiękłe wonią,
Mury łaciną aptekarską dzwonią.
Ze stosu recept, biedny papier biały,
Jużbyś dwa wielkie ułożył foliały.
Jeszcze nie dosyć, wciąż słychać wołanie

« Tomasz Gdzie leki? » « Po doktora! Janie! »

Tutaj, autorskim zbrojni przywilejem,
Na głowę czapkę « Niewidzimkę » wdziejem,
I, kto z was chętny, mili czytelnicy,
Przy Margrabiowskiej staniemy łożnicy. —

Komnata duża, a jednakże, śmiało,
Sądzić by można : miejsca w niej za mało.
Taki tam natłok sprzętów i sprzęcików,
Arcydzieł sztuki, kaprysu wybryków,
Tych fatałaszek, zmiennej mody dzieci,
Tych do niczego, a drogich rupieci.
Na każdym kroku, z każdej zgoła strony,
Jakiś ci gracik misternie rzeźbiony,
Obraz, czy posąg, bo czegoż tam nie ma?
Drogę zagrodzi, spojrzenie zatrzyma.
Na każdym kroku, w lewo, w prawo, zdala,
Jedwabnych zasłon ciężka płynie fala,
Miękkiemi fałdy, przybytek magnata,

Szczelnie od reszty zda się tulić świata.
Uliczne szumy nie dolecą słuchu,
Zgłuchną, utoną, w aksamitów puchu.
Uliczne światło nie podrażni wzroku,
Zagaśnie, skona, w koronek obłoku.
Powietrze wreszcie, co tam, za murami,
Pospolitemi łykane płucami,
Trąci gawiedzią, zanim tu dopłynie,
Wprzód się we wschodnich balsamów rozczynie,
Wykąpać musi. Z życia, a z natury,
Nic tu, lub mało. W dziwacznej struktury,
Porcelanowym, kitajskim, wazonie,
Kwiat egzotyczny smętną barwą płonie.
Dziecię niewoli, w cieplarni wygrzane,
Dnia nieznające, i słońcu nieznane,
Ciężkim kielichem ku ziemi kołysze,
I zda się, ziewa. Skrzek chrapliwy słyszę.
W złocistej klatce, staruszka być musi,
Coś niby mówiąc, papuga się krztusi.
Ot już i wszystko. —

Mało kto w istocie,
(Przykładów jednak przed oczyma krocie)
Mało kto zbadał, jaki wpływ, mieszkanie,
Na mieszkającym wywierać jest w stanie.
A analiza byłaby ciekawa.
Do głębszych studjów nie roszcząc tu prawa,
Nie mogąc, w skromnej gawędy zakresie,
Zmieścić wszystkiego, co się z niej wyniesie,
Możemy jednak, temat ten, dość nowy,
Kilku krótkiemi sformułować słowy. —
W perfumowanej, lśniącej, bombonierce,
Zamknijcie dzielne a gorące serce.
Watą, co miękka, puszysta, a głucha,
Energicznego obmotajcie ducha.
Do kwadratowej, symetrycznej, celi,
Przez okna której, nic, prócz murów bieli,
Dostrzedz nie sposób, wsadźcie, na pokutę,
Szerokoskrzydlnej wyobraźni butę.
Dwa razy na trzy, ciału płacąc długi,
Ostygnie pierwsze, odrętwieje drugi,

Złamie się trzecia. I, odwrotnym trybem,
Przed duszą sową, i przed sercem grzybem,
Bogatą piękna otwórzcie skarbnicę.
Harmonij kształtów i form tajemnicę,
Wdrożcie w nie gwałtem, przemocą, gdy trzeba,
Niechaj się wpatrzą w lazurowe nieba!
Niechaj odetchną, ci, w norach zrodzeni,
Czystem powietrzem bezbrzeżnych przestrzeni!
A kto wie, może . . . Wracając do treści,
Znanej francuzkiej wzorem przypowieści,
Na polski język kiepsko przełożonej ;
« Tym, co pojęli, posyłam ukłony! »

Otóż i łoże. Wygląda tak ładnie,
Iż nikt cierpienia na niem nie odgadnie,
A każdy, myślą, w inną pomknie stronę.
Para aniołków, margrabską koronę,
Dźwiga u góry, a z pod niej, kaskada,
Batystów, tiulów, i koronek, spada.
W pajęczych tkanek śnieżystej topieli,

Ciekawem okiem, darmobyście chcieli,
Dopatrzeć czegoś. Blade chorej lica,
Zalotna w koło kryje tajemnica,
Skrzętny jej woal, a i to z grymasem,
Li doktorowi da się ugiąć czasem,
Niechaj nikt z resztą nie widzi, broń Boże!
Jak, wielkich świata cierpienie zgiąć może,
Jak, ból, ten równiacz, ból, ten demokrata,
Z wielmożnej twarzy maskę pychy zmiata,
Jak, gładkiej mowy formułka zwodnicza,
To, co godnością zowie się oblicza,
Dystynkcją ruchów, giestów, i tak dalej,
Pod tchem niemocy, maże się i wali. —

Patrzcie! Słuchajcie! Jeśli współczuć echo,
Może cierpiącym jaką być pociechą,
To jej tam, nie brak. Co moment, co chwila,
Czyjaś twarz smętna nad łożem się schyla,
To mąż, to krewni. W kącie, na stoliku,
Kart wizytowych na tacy, bez liku,

Świadectw pachnących, iż, troską przejęta,
« *Fashion* » Paryska o chorej pamięta.
U drzwi, służących niezliczone zgraje,
Każdy z nich smutek przynajmniej udaje,
Każdy z nich czeka, z natężonem uchem,
Za lada słowem, rąk lub oczów ruchem,
Lecieć, gdzie trzeba, gdzie każą. Wszak przecie,
Już o radzącym obok fakultecie,
Wam powiedziano? W sąsiedztwie, do koła,
Żaden aptekarz nie zasypia zgołą,
Każden z nich czeka, pełen poświęcenia,
Aż z doktorskiego posłaniec ramienia,
Spiesząc się, pędząc, z garścią pełną złota,
O ich gościnne nie zawadzi wrota.

Interes wszędzie? Zapewne! Cóż chcecie?
Wszystko zarazem trudno mieć na świecie.
Macie zaszczytów, bogactw, do zazdrości,
Znać wam też wszystko, prócz-jednej szczerości.
Sądów Wszechmocnych w tem to równowaga.

Rajów żywota waszego, w tem, plaga.
Z każdej przed wami pochylonej skroni,
Z lic uśmiechniętych, z wyciągniętej dłoni,
Z łezki, z uścisku, patrzcie się! Przechera!
Widmo obłudy i fałszu wyziera!
Krewny was kocha? O! Kocha zawzięcie!
O pewnym zwłaszcza myśląc testamencie.
Stary przyjaciel sprzyja wam bezspornie?
Je za to u was i pije wytwornie.
Sługa się łasi, kłania się zdaleka?
Gratyfikacyi, podarunku, czeka.
Upior jest wszędzie! O! Bądźcie też szczersi!
Każdy z was prawie nosi go w swej piersi,
Z wyjątkiem kilku, restrykcję tę zrobię,
Panów Narcyzów zakochanych w sobie,
Którym « ja » w oczach, nieźmierzona skala,
Nic więcej nad nią widzieć nie pozwala,
Reszta, wielkiego uznajcie w tem sędzię,
Walczy z zwątpieniem, lub walczyć z niem będzie!
Nędzarz, gdy snując nić życia mozolną,

Spotka sympatję, wierzyć mu w nią wolno,
Wam nie! Niestety! Ale macie złoto!
Macie zaszczyty! Pocieszcie się oto!

Z po za batystów głuche słychać jęki.
Wzruszone drganiem spazmatycznem ręki,
Wiotkie ich fałdy, niekiedy a czasem,
Zadrżą gwałtownie. Przytłumionym basem,
« Kryzys się zbliża! » Pan konsyliarz głosi.
Echo słów jego szybko się roznosi,
Z sali do sali, lotem błyskawicy,
Przebiega pałac, dobiega ulicy.
W gronie służebnem nie jedne tam łono,
Drży snu nadzieją, długo ujarzmioną.
Ostatni z rzędu, przed bramą, woźnica,
Na wieść tak ważną, rozpromienił lica,
Konia ściął batem. Za co? Widzi mi się,
By i on także wiedział o kryzysie —

Przyszedł ten wreszcie. Głębszy, przedłużony,

Jęk, snać ostatni, wybiegł z za zasłony.
Doktor pod nosem mruknął coś, jak « Przecie! »
I za wygranę dając etykiecie,
Podbiegł do łoża, jednym ręki miotem,
Z lekkim się tiulów rozprawił namiotem,
Kazał wnieść światło, schylony nad chorą,
Jakieś tam leki podsunął jej skoro,
I czekającej w czujnej już posturze,
Mamce, Normandji nieodrodnej córze,
Nowego ziemi podając mieszkanka,
Trymfująco krzyknął : » Margrabianka! »

Znów urodziny? Znowu, lecz tym razem,
Weselszym nieco służąc wam obrazem,
Gromnicowemi przy trupie połyski,
Nie będziem dziecka oświecać kołyski,
Tym samym dzwonkiem, i ludziom, i niebu,
Obok chrzcin głosić, nie będziem pogrzebu.
Dzięki przezornym lekarzy zachodom,
Sił zasobowi, żywota wygodom,

A Bożej woli, która, kościół twierdzi,
Wie za co głaszcze, i za co się sierdzi,
Nie masz tu zgonu. Na karcie złoconej,
Pod margrabiowskiej nakryciem korony,
Następne słowa : « Żona nasza miła,
Wczorajszej nocy córkę nam powiła.
Mimo ciężkiego nadzwyczaj połogu,
Matka i dziecię, zdrowe, dzięki Bogu! »
Słowa te pójdą... Zbądźmy raz narowu,
Co nam o krewnych chciwych spadku, znowu,
Mówić doradza! Period ten zaspany,
Frazesem wiary kończąc dla odmiany,
Słowa te, mówmy, nowiną wesołą,
Krewnych, przyjaciół, rozpogodzą czoło.

Tu, nowa zręczność, zapewne, zapewne,
Do dziecka « Witaj! » wystosować rzewne.
Tu, nowa zręczność, jak wprzódy, przed chwilą,
Na wzór poetów, co, byle co, kwilą,
O życia tego istnej poniewierce,

Drugiej powieści mówić bohaterce.
Tu, nowa zręczność, łzawym wodospadem,
Zalać korzystnie kartek dwie, z okładem,
I na rozrzewnień gładkopłynej fali,
O całe staje, popchnąć powieść dalej.
Lecz, z tych zręczności, chociaż pessymista,
Chociaż rad smętkom, autor nie skorzysta.
Liryzmu swego nader suche strugi,
Komu innemu niosąc na usługi,
On, nad kołyską małej margrabianki,
Woli uśmiechów zawiesić cacanki,
On, przez pieluszek batysty, muszliny,
Co drobne ciałko krępują dzieciny,
Woli, do czasu, wstecz zawczesne słowo!
Na przyszłość jego popatrzeć różowo.

Gdzież bo i kiedy, taki pogląd, Boże!
Trafniej się użyć, zastosować, może?
Jeśli fortuna, co ją ludzie tropją,
Nie jest zupełną bajką a utopją,

Jeśli promyki szczęścia, rozproszone,
Mogą chmur życia przebić gdzieś oponę,
Jeśli im kędy zamigotać jaśnie,
To nie gdzieindziej, a to tutaj właśnie.
Skronie rodziców, nie o życie marne,
Jedyną troską o dziecko ciężarne,
Umysł ich wiedzy zasobny zadobyczą,
Którą w spuściznie dziecku przelać liczą,
Majątek, imię, z herbu, i z dukata,
Tytuł do względów, do pobłażań, świata,
Wszystko otwarte, nic niedostępnego,
Wybór dowolny tak dobra, jak złego,
Trwanie przy pierwszem bez ofiar zbytecznych,
Przeciw drugiemu pełno rad skutecznych,
Oto horyzont, na życia zaczęciu,
Jaki pańskiemu śmieje się dziecięciu.
Przecz więc elegje?

W bytów ludzkich treści,
Dużo się wprawdzie innych bolów mieści,

Nędza, ubóstwo nie są wszystkiem zgoła,
Grom nieszczęść bije i w wysokie czoła,
Spojrzeć li tylko, i pod delją króli,
Do krwi gryzących nie zabraknie móli,
« Każdy ma swego, » jak mówi przysłowie,
Prawda. Zapewne. Lecz, w wązkiej osnowie,
Jednej powieści, trudno, niepodobna,
Serca ludzkiego każdy cierń, z osobna,
Pod etykietką, jak w jakim zielniku,
Przed oczy twoje stawić, czytelniku.
« Życie jest walką, ziemia łez padołem! »
Przed swych parafjan zgromadzonem kołem,
Każdy to proboszcz prawi co niedziela.
Komentarz dodać myśl się ma ośmiela:
Iż na tę walkę nie wszyscy żołnierze,
Mogą pierś w tęgie uzbroić pancerze.
Iż na obtarcie łez onych, co płyną,
Ci mają chustkę, a ci kułak ino.
Iż kiedy zatem, jak nigdzie, jak w niczem,
Nie masz równości i przed klęsk obliczem,

To niechaj inni tkliwi menestrele,
Płaczą nad temi, co, w losów podziele,
Jeśli nie raju, nie masz o nim mowy,
To lepszej piekieł dzierżą się połowy.
Ja... ja, spoglądam, tam, w stronę poddasza,
Gdzie o « Zdrowaśki » trup wdowy uprasza,
Ja, tam posyłam w chwile rozrzewnienia,
Wsze łzy mych żrenic, wsze piersi westchnienia!

W pięknej kołysce, którą już, oddawna,
Mistrzów w tym kunszcie, dłoń rzeźbiła sławna,
W pysznej kołysce, w batystów powodzi,
Margrabianeczce dobrze się powodzi.
Patrzcie nań, taka rumiana, pulchniutka,
Do piersi mamki pełnych mleka, rzutka,
Choć patricjuszka, później się zasroma,
Tak na fi! gminne! mleko te łakoma,
Tak je połyka zawzięcie i szczerze,
Iż biedną mamkę żal po cichu bierze,
Nad własnem dzieckiem, co może, zdaleka,

Rączki wyciąga, i głodne, i czeka,
Podczas gdy żywot należny mu, oto,
Obce niemowle smokcze tak, za złoto.

Handel. Bóg świata. Wszystko się sprzedaje,
Taniej, lub drożej : cześć, zbawienia raje,
Piękność, i młodość, siły, i zalety,
Rozum, i talent, wiem o tem niestety!
Mniejsza o wszystko! Ale pierś macierzy,
Lecz to, co prawem nad prawa należy,
Do niemowlęcia, któremu, wspaniale,
Daliśmy żywot nieproszony wcale,
Lecz te, dobitnie składajcie się zgłoski!
Te święte matki nad swem dzieckiem troski,
Tkliwe zachody, jedyne tu, Boże!
Co nie zmuszone, co nie kłamią może!
Lecz by te sprzedać, lecz by tych wyszynku,
Otworzyć bióro, za grosz miły, w rynku,
To nam się zawsze sromem zdało sromów!
I myśl truchleje, jakich klęsk ogromów,

I jakiej nędzy potrzeba zapewne,
Ażeby matka, matka, miano rzewne!
Zmuszoną była, upadłszy dość nisko,
Kraść swemu dziecku życia zdrojowisko,
A obcym, cudzym, nieść je za zapłatę!
Lub też, na odwrot, o matki bogate!
W głębi łon waszych jakiej trza posuchy,
Żeby te dziecko, kwiatek wątły, kruchy,
Cel egxystencji waszej tu niewieściej,
Najętym dłoniom zwierzać bez boleści!
By wasz przywilej najszczytniejszy, wielki,
Pełną tkliwości godność karmicielki,
To, co was matką czyni po raz drugi,
Na korzyść płatnej abdykować sługi!

Nie do nas badać powody, przyczyny,
Co wysuszają piersi Margrabiny.
Wspaniała postać tej wielmożnej damy,
Pośrednio tylko zawadza o ramy,
Naszej powieści, i, w wązkiem ich kole,

Bierną li tylko odegrywa rolę.
Nie do nas także, obojętne wcale,
Żywota mamki nicować detale.
Ustęp powyższy myśli był wysokiem,
Co, nieprzywykła, krok ot tak za krokiem,
Prostą koleją, zmierzać gdzie ją wiodę,
Byleby przesmyk, rwie się na swobodę.
Świętą wam nadal kładnąc obietnicę,
Iż tej niesfornej przykrócimy lice,
Jak na porządnych pisarzy przystoi,
Wróćmy do treści, czytelnicy moi.

A! W samą porę! Ot Pan domu, właśnie,
Nieznany dotąd, wychodzi na jaśnię,
Chociaż z wyrazem na pozór zajęcia,
Po nad kołyską chyli się dziecięcia,
W chmurach jednakże jego smętnej skroni,
Coś, jakby wyraz zawodu się chroni.
Kto wie, być może, możnowładcy serce,
Chciało mieć syna, rodu spadkobiercę.

Może fantazji popuszczając wodze,
Już go widziało na zaszczytów drodze,
Jak, przyszłych królów skarbiąc sobie łaski,
Stary herb przodków w nowe stroi blaski.
Może, rozliczne obliczając szanse,
Już dlań korzystne roiło alianse,
Może (grunt Pański wymaga pognoju),
W mądrze praktycznych mamideł swych roju,
Syna onego, myślą na zysk łasą,
Z bankierskiej córki już żeniło kassą.
Może. Kto zgadnie? Wątek mar się zrywa,
Zamiast infanta, infantka przybywa,
Z jej urodzeniem, w projektach przyszłości,
Już nie przybytek, a ubytek gości,
Minus, miast plusu, z kieszeni, miast do niej,
To, w zmarszczkach Pańskiej przeczytałbyś skroni.

Tak więc, w dwóch różnych kwartałach stolicy,
W dzielnicy zbytków, i, w nędzy dzielnicy,
Dla różnych racji, dodać to potrzeba,

W darach się swoich pomyliły Nieba.
Tam, na poddaszu, w głodów refektarzu,
Gdzie o kęs chleba ciężko mój nędzarzu!
Gdzie i tak ciasno przy niepełnej misie,
Nowy gość klęską, nie dziw, widzi mi się.
Tutaj, w pałacu, rodowe splendory,
Pewniejszej w mieczu czekały podpory,
Niżli ta, którą, jakeście widzieli,
Los im w wątluchnej posyła kądzieli.
Tam ból, tu kwasy. Nigdzie, nigdzie, zgoła,
Krzyków radości z dzieciny anioła,
Jakiemi w Polsce, Błogosław ją Boże!
Byleb' niemowlę zrodziło się hoże,
Dźwięczą serdecznie, szczerze, bez odmiany,
Tak marmurowe, jak wapienne ściany.
Z niczyich piersi, jak to u nas bywa,
O ziemio moja! Matko ufna, tkliwa!
« Da Pan Bóg dzieci, to da i na dzieci! »
Sentencja wiary, w górę nie uleci.
Cywilizacja!

Dzięki jej, powoli,
Wszystko się w cyfry przemienić pozwoli,
Ojcowstwo naprzód. Stosownie do mienia,
Na « quantum » dzieci, Pan Mer, pozwolenia,
Wydawać będzie, i, według tysięcy,
Renty każdego, da ich mniej, lub więcej.
Norma ta różna dla rozlicznych stanów,
Niższa dla tłumu, a wyższa dla panów,
Uwzględni wszystko, wszystko bez zawodu :
Potrzeby brzucha, wymagania rodu.
I zbawi wszystko : kraj, od przeludnienia,
Arystokrację, od dóbr jej zmniejszenia,
Ciżbę, od głodu. Przestępców w tym w zględzie.
Do Oceanji posyłać się będzie.
Niech zaludniają, kiedy chęć a wola,
Przestronne Nowej Kaledonij pola,
Niech się tam płodzą, ale tutaj, wara!
Pani Europa, nie dziwo, już stara,
Odkąd ją Jowisz (z mitologji wiecie),
Biorąc kształt tura, uniósł na swym grzbiecie,

Od tego czasu lat przeszło nie mało,
Świeżuchne dziewcze podówczas, zbabiało,
Sercem szczególniej, liczy, mierzy, waży,
I przy uczuciach dzieci swych, na straży,
Stawia duegnę względną na wybryki,
Względną na wszystko, byleb za srebrniki,
Cywilizację!

Biedny mój narodzie!
U wrót Mongolji, na w pół dzikim wschodzie,
Nie wiem zaiste czego życzyć tobie?
Czy żebyś został, jak jesteś, ot sobie,
Ani to mędrcem, ani to prostakiem,
Cywilizacji, ni mistrzem, ni żakiem,
Czy żebyś skromnie, na wąziuchnej miedzy,
Zdala od zbytków przemysłu i wiedzy,
Żył, jako niegdyś praojcowie żyli?
Czy też, byś zmądrżał, i byś w jednej chwili,
Starszej twej braci dorównał pokostem,
Wzrostem oświaty, i, zepsucia wzrostem,

Co nader często w zgodnej chodzą parze?
W sercu mem, skrzętnie, obie danne ważę.
Na jednej szali liczne składam zyski :
Większy sztuk przepych, większe nauk błyski,
Gust, wykształcenie, i, boć to się brata,
I większy udział w sprawach tego świata,
I więcej złota, i potęgi więcej;
Wszystko to zgoła, czego, w swej dziecięcej.
Czułości, serce, syna jak należy,
Może i winno pragnąć dla macierzy.
Na drugiej szali strat mieszczę ładunek :
Wspólny bogaczom o ciało frasunek.
Chłód sentymentów, ducha zaniedbanie,
Religję cyfer, miast uczuć, w zamianie,
Gładkich formułek zdawkowe monety,
Zupełny prawie upadek kobiety,
Pod firmą małżeństw, spółki komercialne,
W posagu racje mające socialne,
Zamiast rodziny, kilku osób grono,
Którym dziedziczyć razem przeznaczono,

Po śmierci ojca, lub matki, lub stryja,
Ten pozytywizm, co serce zabija,
Na korzyść głowy, i, pod dżdżem sarkazmów,
Warzy przedwcześnie kwiatek entuzjazmów,
Ten brak zapału, tę, względnie dochodów,
Zmienność przekonań, ten stek słowem wrzodów,
Pod zwierszchnią szatą postępu wspaniałą,
Nacji zachodu plugawiących ciało.
I kiedy prawu natury powolne,
Równe ciężkością, przegiąć się nie zdolne,
Szale mych sądów, przedemną, bez ruchu,
Wiszą w przesztrzeni, to, rozdarty w duchu,
Koleją z sercem, lub z głową, w niezgodzie,
Czego ci życzyć, biedny mój narodzie?
Niewiem, zaiste!

Serdeczny nałogu!
Co myśl wędrowną wciąż do Ojców progu,
Nawracasz zewsząd, co, na przekor treści,
W nieswojskie ramy Paryskiej powieści,

Choćby nawiasem, choćby od niechcenia,
Rodzinnych strapień zaplatasz wspomnienia.
Nałogu serca! Zadrzem w niem na chwilę!
Oto! Patrz! Gadka snuje się zawile,
Grzęźnie w opisach, na rozpraw mieliznie,
Raz w raz utyka. Jeśli o Ojczyznie,
Zaczniesz jej tęskne podszeptywać wzmianki,
Jeśli ją zaczniesz wabić na hulanki,
Po polach marzeń, życzeń, et caetera,
A toć zwichnięta biedaczki karjera,
A toć jej « Amen! » przed czasem, niebodze!
Nałogu serca! Popuść myślom wodze!
Niech za ojczyste lecą widnokręgi,
Niechaj z żywotnej obcych ludów księgi,
Uczą się lepiej cenić to, co własne,
Niech się przeświadczą, iż nie wszystko jasne,
Co za górami, że i tam są cienie,
By im rodzinnej chałupy sklepienie,
Wyższem się zdało, by, kiedy powrócą,
I po dawnemu, dawną pieśń zanucą,

Mogły w nią zapleść, zdobycz wędrowania,
Filozoficzną nutkę porównania,
Na korzyść, kto wie, i swoich, i swego!
Zaśnij nałogu!

Pora! Wschodzącego,
Słońca promyczek, choć z za chmur opony,
Choć jak chorego uśmiech wymuszony,
A blady taki, zatlił się na niebie.
Oto, ku dziennej spiesząc się potrzebie,
Robocze miasta za rzeką kwartały,
Gwarnem poranku życiem zakipiały.
Jedna po drugiej i inne dzielnice,
Z kolei, senne przetarły źrenice.
Od «Hal centralnych» z «Montmartre» z targowiska,
Życie się wzmaga, rozrasta, rozbłyska,
Z trzaskiem, z łoskotem, jak potok spieniony,
We wszystkie miasta rozlewa się strony.
Z nocnej się głuszy różne budzą echa :
Katerynkarze, gdzie szynkowna wiecha,

Na pozytywkach « Il baccio » fałszują,
Szczękiem im naczyń garkuchnie wtorują,
Tam, ktoś się śmieje, tam, ktoś pali z bicza,
Tam, kupiec z brzękiem pieniądze oblicza,
Ciężki huk wozów, lżejszy tentent koni,
Krzyki przekupek, płacz dzieci, stuk broni,
Tysiąc odgłosów rozlicznej natury,
W nie nazbyt zgodne powiązanych chóry,
Wielkiego grodu gigantyczne tchnienie,
Pod dymów, w górze, ulata sklepienie.

Tam zaś, natomiast, w ruchliwym przed chwilką,
Dworcu Magnata, wraz ze świtem tylko,
Zaległa cisza. W znanej wam komnacie,
Sztuczna noc, w pełnym włada majestacie,
Ani tam wieści o gwarach za ścianą,
Ni o jutrzence. Bolami złamaną,
Cierpiącą damę, sen ujął krzepiący,
Na palcach, cicho, by nie zbudzić śpiącej,
Dworska czereda, ten w lewo, ten w prawo,

Poszła się wzmocnić, kto drzemką, kto strawą,
Jak komu wola. Spocząć też, po znoju,
Margrabia w swoim zamknął się pokoju.
A przy dziecinie i chorej, w pomroku,
Została mamka. Na jej jednej oku,
Sen nie osiada. Biedna, nad kołyską,
Obcego dziecka pochylona nisko,
Obce niemowlę hołubiąc u łona,
O swej sierocie myśli rozżalona,
I płacze, gorżko!

Ta żałość mamczyna,
Niech kończy roździał. Zapada kurtyna.

OBRAZEK III

—

JEDNA

Całych lat dziesięć przemknęło nad światem,
Temu cierniami, a tamtemu kwiatem,
Szlak ścieląc życia. Znów powieści wątek,
Na te poddasze, gdzie był jej początek,
Wrócić nas zmusza. Małe tam odmiany!
Jak niegdyś, brudne i obdarte ściany,
Sterczą, jak niegdyś. W czeluści komina,
Ta sama jeszcze, rzekłbyś, pajęczyna,
Snuje się ciągle. Z dołu tam, z ulicy,
Też same gwary, tej samej stolicy,
Dochodzą słuchu. « Wszystko jest, jak było,

I ku starości, choć się pochyliło. »
Słów u tkliwego pożyczam poety,
Ledwie to dostrzedz.

A gdzie ślad kobiety,
Co tu cierpiała? Gdzie mogiły dziecię,
Pierwszych lamentów którego, na świecie,
Byliśmy świadkiem? Gdzie doktor, chłopczyna,
Co powieść naszą jękiem swym zaczyna?
Kędy są oni? O wiatr u przestworu,
O liście zwiędłe zapytaj u boru,
Fal co minęły szukaj w oceanie,
I w drzewie ziółko poznaj, jestliś w stanie.

O dolo ludzka! Dzieło rąk człowieka,
Martwy gmach, wieki przetrwa, a przeczeka,
Nim runie prochem. Sto lat, nadto wiele,
By trzech pokoleń popiół przy popiele,
W grobowej często już pogrzebać głuszy,
Sto lat tych, gmachu murów nie naruszy,

Ani na tyle. Lat dziesięć, za dużo,
Aby nie jednem cierpieniem a burzą,
Krucze połyski kędziorów młodziana,
Przemienić w srebro, twarz twą, co rumiana,
I świeża dzisiaj, o moja dziewico!
Zwarzyć, sfałdować, pod łez nawałnicą,
Lat onych dziesięć, dla murów kościoła,
To nic, dzień jeden, skruszyć ich nie zdoła,
Utrwali raczej. Pod wiatrów podmuchem,
Schnie w nich, co mokrem, twardnieje, co kruchem,
I kościół krzepnie, gdy ten, co go stworzył,
Lub się już dawno do trumny położył,
Lub żyje jeszcze, ale jak? Mój Boże!
Dziadkiem, przy kruchcie, w dziele rąk swych, może!

O dolo ludzka! Gdybyż tylko tyle!
Gdybyż li zewnątrz zmieniały nas chwile!
Pod więdniejącą cielesną powłoką,
Po lat upływie, gdybyż, baczne oko,
W też co i niegdyś zbrojne animusze,

Niczem nie skrzepłe, myśl, uczucie, duszę,
Dopatrzeć mogło! Żądamy za wiele,
Czas na nich bruzdy, głębsze niż na ciele,
Wyżera pono. Martwy gmach świątyni,
Chwałę od wieków, jak czynił, tak czyni,
Temuż wciąż Bogu. Dzwonek z jego wieży,
Tej samej wiary cześć niezłomną szerży,
Co i przed laty, gdy, zasłońmy lica,
Kiedy, dusz naszych, serc naszych, świątnica,
Pod wpływem lada, chuci, a zachcenia,
« Credo » przerabia, i Bogów przemienia!
Gdyby przepawszy jakich lat dziesiątek,
Kto z nas, na nowo, życia zaczął wątek,
Tej, co i przedtem, dziwiąc się naturze,
Skaz czasu w gmachów nie widząc marmurze,
Mógłby się łudzić, iż spał, dobę z rzędu.
Co go, pytamy, wywiedzie z obłędu?
Co go przeświadczy, iż wraca z daleka?
Co? Twarz, a mowa, pierwszego człowieka,
Którego spotka.

I to wszystko na to,
By słuchacz wiedział, iż niejedne lato,
Niejedna zima, pstrym pędząc szeregiem,
Sypiąc na przemian kwiatami, lub śniegiem,
Mieszkańców, gości, znanego poddasza,
Uśmierca, zmienia, przekształca, rozprasza,
Jak wszystkich, wszędzie. Juźci, nie nowina.
Mały nas niegdyś przewodnik, chłopczyna,
Dzisiaj, pod wąsem, znojem trudu, lice,
Na miejscu ojca, zlewa już, w fabryce.
Doktor poczciwiec, poszedł, hej, za światy,
Za swe zasługi tron zasiąść zapłaty.
A małeż dziecię? A ziółkoż grobowe?
Los jego dalszy, powieści połowę,
Gdy, z toku rzeczy, kreślić nam przychodzi,
Odkrząkniem wprzódy. Pozwól Pan Dobrodziej!

Stara sąsiadka, której, w swej mądrości,
Bóg, macierzyńskich odmówił radości,
Widokiem dziecka szczerze rozżalona,

Małą sierotkę przygięła do łona,
« Chodź » mówiąc « dziecię! Myśmy nie bogaci,
Co dzień zarobi, to dzień i roztraci,
Staruszków dwoje, wstając równo z słońcem,
Zaledwie koniec związujemy z końcem,
Lecz chodź sierotko! Jest Pan Bóg na niebie!
Jakoś to będzie! Znajdzie się dla ciebie! »

Mówcie, żem stronny, że, wielcy i mali,
Różnej w mych sądach używają szali,
Że, ku ostatnim, zbyt widocznie, kłonię,
Myśl uprzedzoną, serce, chęci, dłonie,
Zgodzę się z wami. Tak! odszepnę z cicha.
Nie, że mię wielkość razi i odpycha,
Nie, żebym pragnął, dzieciom jej, pomału,
W cnotach, w zasługach, odmówić udziału,
Nie, żebym twierdził : na serc ich ugorze,
Samo złe tylko zaplenić się może.
Zgoła! Bynajmniej! Lecz, z dobra, lecz, z cnoty,
Cześć im przyznając, równą co do joty,

Równą bezwzględnie, tamtej, która świeci,
W pokornych sercach niskich chalup dzieci,
Chętniej hołd niosę! Przykład na poparcie,
Mej stronniczości wyznanej otwarcie :
Ot miłosierdzie. Gdy te przyobleka,
Bogatą suknię, gdy dźwięczy zdaleka,
Sztukami złota w litości skarbonie,
Gdy się w pałacach rozsiada, na tronie,
Cześć mu zapewne. Lecz, kiedy te same,
A w mniej wystawną oprawione ramę,
Idzie po cichu, z tymi, którym trzeba,
Ostatnim kęsem podzielić się chleba,
Gdy karmiąc innych, niebiańska dziecina,
O własnym głodzie może zapomina,
O wtedy, wtedy, świętej tej macierzy,
Coś jeszcze więcej, zgódźcie się, należy,
Nad cześć, uznanie, wtedy ona, zgoła,
Nie tylko zgina kolana i czoła,
Lecz duch rozmadla, lecz, tu tryumf błyska,
Z najsuchszych oczów gwałtem łzy wyciska,

Łzy rozrzewnienia! Skromny groszyk wdowi,
Bardziej do serca przypadł Chrystusowi,
Niż dań bogacza. Bożych słów opieka,
Niech me sympatje osłoni zdaleka,
Niech, gdy mię za nie wyrzuty obarczą,
Tłumaczem biednych, zechce być, a tarczą!

Kąt, łyżka strawy, szmat starej opończy,
Na tem się biednych dobroczynność kończy
Co więcej mogą? A tego za mało!
A dziecko rośnie! Nie tylko już ciało,
Krzyczy w niem : « Dajcie! » Dusza się odzywa,
Innego chleba, bo nauki chciwa,
Wiedzy łaknąca! Tu, powinność sroga,
Nowych dyskusji otwiera się droga.

Oświata ludu! Lat już przeszło sporo,
Odkąd ta kwestja prawodawców zmorą.
Odkąd się nad nią, projekt rodząc nowy,
Strzępią języki i łysieją głowy.

Darmo! O! Darmo! Ojcowie ojczyzny!
Tak łatwo wieków nie goją się blizny!
Darmo! O! Darmo! W najpoczciwszej wierze,
Złego nie zniszczyć, piórem na papierze!
Nie dość jest na wiatr puste ciskać słowo,
I dekretować ją obowiązkową,
Jeśli z ciemnotą, senatu ukazem,
I nędzy ludu nie zniesiecie razem! —
Patrzcie się oto : W ubożuchnej chacie,
Para staruszków, zgarbione postacie,
Od rosnącego dziecięcia, zdaleka,
Pomocy w pracy, ulgi w znoju, czeka.
Dziecię to ledwie odrosłe od ziemi,
Już się tych ima rączkami drobnemi,
Wedle sił słabych, już w nich udział bierze :
Izbę zamiecie, chałupy dostrzeże,
Z posyłką pójdzie; lichy kąsek chleba,
Już mu zawczasu odpracować trzeba.
Czyliż myślicie, iż, jak wasze, ono,
Ma czas kaprysić? rączką wypieszczoną,

Łamać zabawki? Za mamą, tak, czasem,
A, B, C, z kwaśnym powtarzać grymasem,
Na ładnej książce, i, patrząc się z góry,
Gdzie obiecane za to konfitury?
Czyliż myślicie, iż chałup pacholę,
Tę tylko, wdzięczną, odegrywa rolę,
Co dziecię Panów? iż, być mu uśmiechem?
Rzewnem miłości rodziców swych echem?
Szczęściem? Nadzieją? Nad to niczem więcej?
O nie Panowie! Na główce dziecięcej,
W ubogiej chacie, huk rzeczy spoczywa.
Chłop nie ma czasu wyczekiwać żniwa,
Kiedyś tam, potem, i, jak w braku chleba,
Zielone zboże brać mu z pola trzeba,
Za rychło nie raz, tak też, i w sił braku,
Na niedorostku, pacholęciu, żaku,
Mus mu przed czasem wesprzeć się, mój Boże!

Idź prawodawco! Idź cny senatorze!
Jutrzejsze w zamian obiecując plony,

Idź mu podporę z pod dłoni zmęczonej,
Wytrącić dzisiaj! Czy wiesz, co ci powie?
« Dajcie mi pokój! Przejaśni Panowie!
Dajcie mi pokój! Rządząc wszystkiem, wszędzie,
Mnie, na mej wązkiej, ubożuchnej, grzędzie,
Rządzić pozwólcie! W szrankach własnej doli,
Choć cień przynajmniej zostawcie mi woli!
Dziecku się uczyć, powiadacie, za to,
Przyszłość mi z hojną pośpieszy zapłatą.
Przyszłość! A dzisiaj? Eh zacni ichmoście!
Pańska to sprawa, bawić się, w przyszłoście,
Macie po temu możność, czasu wiele,
Nie zasypiajcie gruszek więc w popiele.
Nam, nasz horyzont, tak szczelnie zabito,
Iż dziś nam, życiem. Pomnieć aby żyto,
W porę zebrane, spoczęło w stodole,
Żeby przez zimę, na rodzinnym stole,
Nie brakło chleba, by, w właściwej porze,
Chrust był przy piecu, i siano w oborze.
O tem nam myśleć! Nędza wciąż kołace,

Każdy dzień nowe zachody a prace,
Przynosi z sobą. Marząc o tem jutrze,
O czekającem dostatków mię futrze,
Jakie dziecięcia sprawi wykształcenie;
Zanim te przyjdzie, nim ziarnko, nasienie,
Drzewem wyrośnie, wprzód, zarobek tęgi,
Wprzódy postradam szmat starej siermięgi,
Co grzbiet mi kryje! A przytem, a przytem,
Bodajbym, bodaj, płochym był wróżbitem,
Dziecko, raz mądre, nie odwróciż twarzy,
Od nas? Od swoich? Nie szepnież: Ci starzy,
Nic nie umieją!? Czy powrócić zechce,
W wązkiej jak przedtem, i twardej pochewce,
Zamknąć, nauką rozgrzanego ducha?
Czy mnie siwego uczci i posłucha,
Jak to dziś czyni? Kto zaręczy za to?
Eh! Precz z tą hojną w przyszłości zapłatą!
Zawodzi ona! Nad marzone zyski,
Wolęć ja, wolę, by, oświatą niski,
Jak ja, mój chłopak, nie wyrastał zgoła,

Nad dach swej chaty, nad rodziców czoła!
Schowajcie zatem obietnice piękne!
Z dziecka mi pomoc, — jej się nie wyrzeknę,
Nigdy i za nic, przejaśni Panowie!»
Ot co, mniej więcej, ojciec wam odpowie.

Wy, co mu na to? Czy o egoizmie,
O poświęceniu, o patriotyzmie,
Przez was codziennie gwałcone formułki,
Na korzyść waszej wyzyskacie szkółki?
Wy, co mu na to? Czy stwierdzając rady,
Własnych mu czynów, wytkniecie przykłady?
Jakeście ciągle, przez wieków przestrzenie,
Praktykowali owe poświęcenie?
Jakeście, w ręku losy dzierżąc braci,
Bez myśli o tem, czem się to wam spłaci,
Depcąc zysk własny, i własne korzyście,
W światło ich, w światło, wiedli uroczyście?
Jakeście własną i wolą, i siłą,
Bez rewolucji, (nigdy ich nie było),

I bez przymusu, oddali im chętnie,
To, czego dzisiaj, od chłopa, namiętnie,
By oddał dziecku, tak się domagacie?
O wzdyć nie zacni! Jakkolwiek władacie,
Językiem dzielnie, jakkolwiek, w potrzebie,
Na Jezuickim wykarmieni chlebie,
Umiecie z matni, codziennie, nie rzadko,
Sofizmatami wywijać się gładko,
Wątpiemy jednak, nie wierzymy zgoła,
By na fałsz taki, starczyło wam czoła!

Lecz, precz z przeszłością! Co było, to było,
Nie budźmy strachów śpiących pod mogiłą!
Dziśiaj na stole? O dziś idą targi?
Więc dobrze, zacni! Wy, których się skargi,
Nad ciemnem ludu, takiem szerzą echem,
Wy, którzy w waszych lamentach, nad grzechem,
W utyskiwaniach, nad ślepotą gminu,
Słów nie szczędzicie, dość słów tych! Do czynu!
Złóżcie podatek! Brzęczącym dukatem,

Spłaćcie stulecia opieki nad bratem,
Małoletniego zakończonej szkodą!
Zebrany pieniądz, za rodziców zgodą,
Święćcie na wykup, z pod ich prawnej mocy,
Dziatek w moralnej pogrążonych nocy!
Zapłaćcie ojcu pomoc wziętą w synie!
Kapitał pracy odjęty rodzinie,
W rączętach dziecka, choć czemś względnie małem,
Ale realnym zwróćcie kapitałem!
Niech jak od wojska, od znoju dla chleba,
Małe pacholę, co mu wiedzy trzeba,
Z pomocą waszą, wykupi się nędzy!
Indemnizujcie! Pieniędzy! Pieniędzy!
Część zarobionych, przez zbyt długie lata,
Na niedołęztwie skrzywdzonego brata!
Część ich, by z wstrętnej wybawić niewoli,
Dziateczki jego! Smętnej onych doli,
Wyście czynnikiem! Och! Idźmy do źródła!
Jeśli dłoń nędzy, koścista, wychudła,
W wpojonych w ciało, trzyma ich dziś szponach,

Kto temu winien? W pałacach, na tronach,
Wy, o stryjowie! Wy! Wielcy! Wspaniali!
Boście ich dziadom, wolny byt zabrali,
A z nim oświaty, i możność i żądzę!
Wam więc dziś płacić!

Zanim te pieniądze,
Jak restytucja wiekowych nadużyć,
Pójdą wnuczętom, choć w części, oddłużyć,
Krzywdę ich dziadów; wprzód, proroczym snadnie,
Wprzód, dużo wody z rzek do morza wpadnie.
I jakże chcecie by było inaczej?
Najpostępowsi z Imć Panów bogaczy,
Ledwie się godzą, i to niezbyt żwawo,
Na to, by nędzarz do światła miał prawo;
By tę koncesję wyrwać u nich gwałtem,
Wiek cały oto, pracował ryczałtem.
Dwóch będzie mało, by w szczerej intencji,
Od platonizmu im, do interwencji,
Do w walce z nocą, przeskoczyć udziału.

Nie śpiesz się świecie! Postępuj pomału!
Żółwiemi kroki zdążaj ku dobremu!
Pozwalaj, co tam, duchowi gminnemu,
W coraz to większej nurzać się ciemności!
Nie broń skorupie dzikiej bestjalności,
Narastać grubiej na mózgu dzieciątek!
Im dalej kłębka, tem zawilszy wątek,
Im głębiej w borze, więcej drzew do koła,
Aż wykarczować nikt już ich nie zdoła,
Aż rzecz, nie łatwa dziś już, z czasów mgnieniem,
Jstną utopją, istnem urojeniem,
Niepodobieństwem, stanie się powoli!

Wspólnej wszem swoim ulegając doli,
Mała dziewczynka, z znanego poddasza,
(Witaj z powrotem biedna gadko nasza),
Tak, na los szczęścia, gdyby polny kwiatek,
Młodzieńczych zwolna dobiegała latek.
Kto się niebogą zająć mógł, i kiedy?
Dwoje staruszków, też potomstwo biedy,

Tyle umiało pod starość, co ona,
Wczoraj zaledwie z pieluch wyzwolona.
A gdyby nawet (dodajmy nawiasem),
Czy dziad, czy baba, i mogli ją czasem,
Nauczyć czegoś, to, kłopotów tyle,
Kędyż po temu wolną znajdą chwilę?
Ledwie dzień biały, dziad się z łoża zwleka,
Dalej! Do pracy! Babo! Targ nie czeka!
Z kobiałką w ręku, w inną ruszaj stronę!
Ledwie z powrotem, dalej! Przyniesione
Zapasy, przyrządź, przygotuj, co żywiej,
I nieś dziadowi, co się może krzywi,
Iż nazbyt długo czekał na śniadanie!
A izbę zamieść, przymościć posłanie,
A coś tam przyszyć, przyłatać, w odzieży,
Ani się spostrzedz, jako dzień przebieży,
W ciągłym staruszki i dziewczynki znoju,
Nadchodzi wieczór. To, chwilka spokoju.
Ją by na dziecka użyć wykształcenie,
Na abecadło? Tak, ale zmęczenie,

W ślady za pracą, snem zagląda w oczy.
Darmo się bronić, głowa się zatoczy,
Sama ma barłóg. A światło kosztuje!
A drzewa nie masz! A zimno przejmuje!
A w łóżku cieplej! Spać! Wstaniem do świtu!
I oto, dzionek, z nieszczęśliwych bytu,
Z takich się plotą miesiące ich, lata,
Aż sucha jejmość, we drzwi zakołata,
Chłodną swą dłonią!

Mniejszab' jeszcze, w summie,
O światło, wiedzę! Choć czytać nie umie,
Choć, w piśmienniczej swej nieświadomości,
Akt ślubny, krzyżem podpisze w przyszłości,
Dzieweczka nasza, jak inne, nie rzadko,
Może być dobrą, i żoną, i matką,
Byleb' moralność w sercu, a sens w głowie.
Alboż te działem każdego panowie?
Wszystkich że niemi w jednakowej mierze,
Obdarzył Pan Bóg? Iż są święci, wierzę,

Iż są tu dusze, co, z Bożych rozkazów,
Niepotrzebując innych drogoskazów,
Przez błonie życia, mkną w dobro, nie przeczę,
Lecz te, wyjątkiem, lecz, plemię człowiecze,
Liczy ich skąpo. Większości, nieźmiernej,
Trzeba przykładów, trzeba dłoni wiernej,
Co by ich wiodła, potrzeba, o dziatki!
Szkoły serdecznej, tkliwych objęć matki,
Opiekuńczego ojcowskiego wzroku!

Tuż, od pierwszego w drodze życia kroku,
Dzieweczce naszej nie stało ich oto.
Moralnej pieczy nad biedną sierotą,
Gdy się jej ząbki na frukt wiedzy kolą,
Para staruszków, och! z najlepszą wolą,
Podjęcia onej, podjąć się nie zdoła.
Skąd stara babka, w której, nie wesoła,
Historja życia, wiek, znoje, strapienia,
Wszelkie młodości zabiły wspomnienia,
Skąd ta, co może nigdy jej nie miała,

Ta, co od pieca na targ przebiegała,
Lat swych trzy czwarte, i w tem jarzmie srogiem,
Czemś jak kobiałką, czemś ot, jak ożogiem,
W postaci ludzkiej, stała się pomału,
Skąd tej, co w jasne sfery ideału,
Nie zaglądała, nawet i przypadkiem,
Skąd tej, co może, sama przed upadkiem,
I przed obłędu, tam, w przeszłości chwilką,
Dzięki inercji ustrzegła się tylko!
Skąd jej odgadnąć, pytamy się o to,
Dumki, co w głowie dziecęcej się plotą,
Gdy wiosny życia, zaświeci jej słońce?

Matka! Rzecz inna! O ty, kochające,
Macierzy serce! Tyś przeczuwać zdolne!
Darmo, dzień za dniem, życie to mozolne,
Źwiędłych cię chwilek przysypuje prochem!
Darmo! Za pierwszym dziecka twego szlochem,
Ty precz otrząsasz, ten kir odrętwienia,
I na skrzydełkach, boleśnych, wspomnienia,

Źwiedzając myślą młode czasy twoje,
Na dziecka troski, żądze, niepokoje,
Czerpiesz lekarstwo, w doświadczeń skarbnicy!
Macierzy serce! Ze łzami w źrenicy,
Niosę ci hołd ten kilku słów wzruszonych.
Na ścieżkach życia splątanych, skrzywionych,
W brudnych odmętach niewiary, zwątpienia,
Pod losów burzą, pod gromem strapienia,
Jeśli się dziecku twojemu zostało,
Zacisze w piersiach, gdzie dotychczas biało,
Gdzie nie masz kałów, skąd na świat, mój Boże,
Bez sromu, hardo, popatrzyć się może!
Jeśli twe dziecko, nie ugjęło skroni,
Przed złem zupełnie; jeśli, z zgubnej toni,
W którą pod zmysłów upadło podmuchem,
Z niepokalanym ujść zdołało duchem!
O! To ten tryumf bezwiedny, Bóg świadkiem,
O! To tę zbroję, przed hańby upadkiem,
Macierzy serce! W smętnej prób godzinie,
Tobie li, tobie, zawdzięcza jedynie,

Nikomu więcej, li tobie!

Jak chcecie?
Zanadto rajem pachłoby na świecie,
Świat ten zanadto byłby nieba blisko,
By serce takie mogło, za siedlisko,
Pierwszej, ot, lepszej, staruszki mieć łono!
Dość, że sierotę, z łaski przytuloną,
Nie gnębi srodze; dość, że łyżki strawy,
Kąta przy piecu, a lichej oprawy,
Nie każe łzami płacić jej gorzkiemi!
Eh! Nie bujajmy zbyt szparko od ziemi!
Eh! Od utopij strzeżmy się błękitów!
Macierzyńskiego poświęcenia szczytów,
Względem sieroty, nie szukając w dole!

Gdybyż to tylko! Ach! Gdybyż, w tej szkole,
Pierwszych dni życia dla dziecka biednego,
Jak oto mistrzów dobra, mistrzów złego,
Nie było również! Gdybyż los zazdrośny,

Co macierzyńskiej nauki miłośnej,
Odmówił dziecku, mógł, chciał, jakimś cudem,
I przed złych natchnień na zewnątrz go brudem,
Osłonić także! Kto wie? Przypuszczenie,
Może natura, może przyrodzenie,
Pierś jego, niwę leżącą odłogiem,
Miast chwastem podłym, pokrzywą, a głogiem,
Garsteczkąb' kwiecia zasiały bezwiednie!

K'czemu się łudzić? Czy wieczór, czy we dnie,
Rano, w pomroku, bruk miejski, w istocie,
To rola kędy nie krzewić się cnocie,
Chyba przypadkiem. Hej! Tam! Wzdłuż chodników,
Posłuchaj proszę, tych szeptów, tych krzyków,
Gawęd ulicznych! Co krok, lub pół kroku,
Błądzącym nimfom przyglądnij się z boku!
Gdy czas po temu, wstrzymując się chwilę,
Przed wystawami, och! słynnemi tyle,
Sklepów Paryskich, spójrz, nie chmurząc lica,
Na to, co promień gazowy oświeca,

Za szkłem ich nie raz! Nie szczędź wzroku, słuchu,
A człek dojrzały, poczujesz na duchu,
Coś jakby osad subtelny trucizny!
A wytrawiony życiem już, męszczyzny,
Poczujesz w sobie, coś, orzec to trudno,
Jakby, darujcie, jakąś płachtę brudną,
Co ci myśl twoją, i serce okoli!
A, gdyś nie święty, a, gdyś z losów woli,
Skazan na żywot, tam, w tej atmosferze,
To ci się ona, rób co chcesz, dobierze,
Do krwi, do mózgu, to, zwolna, pomału,
Gdy nie apetyt, to mniejszy wstręt kału,
W głębiach twej piersi odkryjesz ze zgrozą!

O! Bo rozpusta tam, nie zwykłą prozą,
Jako gdzieindziej! Przebiera się ładnie,
Na chuć źwierzęcą, maskę czucia kładnie!
Rzadko się w wstrętnej przejawia nagości!
Lubieżność kryje pod nazwą miłości!
Sprośna, a skromne małpuje zwyczaje!

Handlując wszystkiem, wszystko rzekłbyś, daje!
Bluźniąc, przysiągłbyś, iż mówi pacierze!
Oh! Jak szerokie człowieczeństwa leże,
Wrzód ten zapewne, i zawsze, i wszędzie,
Pierś społeczności, jak gryzł, tak gryźć będzie,
Nie przeczym, zgoda! Lecz są stopnie złego,
Ale gdzieindziej, złe te, od dobrego,
Odparkanione sanitarnym wałem!
Ale gdzieindziej, co kałem, to kałem,
To, iż tak rzekniem, odzież wstydu nosi,
To się przy dobrem, jak tu, nie panosi!
Ale gdzieindziej, szukać go potrzeba!
Kędyś, w rynsztokach! Ale, widzą nieba!
Gdzieindziej, dżuma, łamcie się wyrazy!
Tych li zaraża, co pragną zarazy!
Wtedy, gdy tutaj!

Nie z objęć macierzy,
Jedynej zbroi, co istnie pancerzy,
Na walki życia! Nie z pod skrzydeł matki,

Co nie wprzód na świat wypuści swe dziatki,
Aż je wyuczy bujać po swojemu,
Z przytułku łaski, gdzie, dziecku biednemu,
Nikt (ustęp wam to wytknął nie daleki),
Nie mógł tej świętej zastąpić opieki,
Z przytułku łaski, za którą, czas bieży,
Już się od dziecka czynsz pracy należy,
Swym dobrodziejom, z przytułku litości,
Gdzie karmiąc ciało, nikt mu ducha czczości,
Ani krztą innej nie nasycił strawy;
Dziewczynka nasza, raz, kiedy bladawy,
Wieczór, swym szarym rozpostarł się cieniem,
Z jakiemś od chorej staruszki zleceniem,
By coś dlań kupić w sąsiedniej kramnicy,
Wśród ludnej, raptem, stanęła ulicy,
Na śliskim bruku, nad życia otchłanią!

Darujcie mili, lecz, nim pójdziem za nią,
Wprzódy nam trzeba, z kolei, na nowo,
Drugą powieści zająć się połową. —

OBRAZEK IV

—

DRUGA

Odmłodniał, rzekłbyś, dwór margrabiów stary,
Odwieczne jego sklepienia, filary,
Bearneńczyka sięgające czasów,
Tak, ot, wesołych, szumów, i hałasów,
Dawno już, dawno, może niesłyszały. —
Z rana, do nocy, jak długi dzień cały,
Śrebrny dzwoneczek, śmiech dziecka, za śmiechem,
Droczy się z murów zadrzemanem echem.
Jeśli na lśniących parkietach salonów,
W menuetowych zapędzie ukłonów,

Czerwone korki prababek, pradziadów,
Coś jeszcze z swoich zostawiły śladów;
To je dziś pewno, para nóżek mała,
Skoki swojemi już pozacierała. —
W znanej wam zdawna sypialnej komnacie,
Ładnych gracików onych, (pamiętacie?)
Przeważna większość, w druzgach. Napuszona,
Papuga w klatce, część swego ogona,
W czyichś rączętach zostawiła zda się.
Na bronzach mebli, na mebli atłasie,
Miast artystycznych jak dawniej rupieci,
Dziś, pełno lalek, zabawek dla dzieci,
Ryczących krówek na kółkach, baranków,
Kuchenek z blachy, koszyków, gałganków,
Czy ja wiem czego? pokłady bez końca!
Ciężkie zasłony, każdy promyk słońca,
Fałdów swych niegdyś tamujące zwojem,
Dziś, rozchylone, i światło, przebojem,
W głąb się rwąc izby, codziennie tam, rano,
Czyjąś twarzyczkę oświeca rumianą,

I w czyichś włosków złotej igra fali. —

Margrabianeczka, coście ją poznali,
U wstępu na świat, lat temu dziesiątek,
Gdy na swój pański niepomna początek,
Plebejuszowską, strugę życia, białą,
Z piersi mamczynych połykała śmiało;
Margrabianeczka, jako to widzicie,
Wyhodowana na niej wyśmienicie,
Hożo i zdrowo, odrosła od ziemi. —
Jedyne dziecię, (Opatrzność innemi,
Nie obdarzyła margrabskiego stadła,)
Jak absolutna królowa zawładła,
Nad sercem matki, każdy to zrozumie.
Ojciec, jakkolwiek ubodnięty w dumie,
Jakkolwiek radby, by mu wróżka jaka,
Tę jedynaczkę ot, na jedynaka,
Przemienić chciała, powoli, powoli,
Zgodził się wreszcie z wyrokami doli,
J o Salickiem przestał marzyć prawie.

Na skokach, śmiechach, na psotach, zabawie,
Jako ów strumyk po kwietnej dolinie,
Pierwsze dnie życia, spłynęły dziecinie.
Bożyszcze matki, rodzica pieszczota,
Dziedziczka wielu herbów, i sztuk złota,
Tuż od kołyski zwykła, nałóg słodki,
Ze wszech stron tylko pochwały, łakotki,
Krzyki zachwytów, entuzjazmów płacze,
Jak dłużne sobie przyjmować haracze.
Tuż od kolyski zwykła, nic dziwnego,
Do połuszeństwa, każdej, i każdego,
Ze sług, z przydwornych, co, świadomi rzeczy,
O łaskę dziecka, w większej byłi pieczy,
Niżli o łaskę choć Pani, choć Pana;
Margrabianeczka, tak wychowywana,
Jako cud sprytu, wdzięków, z jednej strony,
Z drugiej zaś, jako diabełek wcielony,
Jak kapryśnica, mówiąc poufale,
W możnym « St Germain, » słynęła kwartale,
Po za Sekwaną.

Kapryś Pańskie dziecię!
Czem nie kaprysić, gdy można? Na świecie,
Przywilej taki, nie wielu udziałem,
Za swych urojeń pięknym ideałem,
Nie każdy może skorą mknąć pogonią.
Och! Więcej biednych, co, byleb krok, ronią,
Po cierniach drogi, śnieżną wiar swych wełnę,
I tam, u kresu, na zawodów pełne,
Życie swe, klątwą ciskają rozpaczy!
Ale ty, dziecię fortunne bogaczy,
Ty, zapisane we zwycięzców cechu,
Tobie się na to, nie skarżyć bez grzechu.
Przed twoją buzią ładnie zadąsaną,
Rodzice dzisiaj zginają kolano,
Jutro, ktoś inny zegnie je, to pewno.
Każdy twój grymas, każdą minkę gniewną,
Mama dziś, cacek okupuje datkiem,
Żeby zażegnać chmurkę, co, na gładkiem,
Czole twem, jutro, zacienić się raczy,
Wieluż to, wielu, szaleńców, w rozpaczy,

Serc ci wiązanką ciśnie po pod nogi?
Czem nie kaprysić? Alboż ci los srogi,
Alboż ci musu dłoń nieubłagana,
U wstępu na świat, jako innym, z rana,
Skrzydła fantazji, obcięła króciutko?
Alboż myśl twoją, młodą, bujną, rzutką,
Niepodobieństwa okuła łańcuchem?
Alboż cię, w troskach poziomych nad brzuchem,
Co głodem krzyczy, schyliła nad glebą?
Nie! Pańskie dziecię! Nie! Szerokie niebo,
Podniosłych natchnień stoi ci otworem,
Jeśli twe dumki lotu tam nie zmierzą.
Jeśli nie pomkną bujać, kędy jasno,
Jeśli w dół spadną, i kloakę ciasną,
A brudną, złego, wybiorą gościną!
A toć juz chyba, nie czyjąś, gdzieś, winą,
A twoją własną, będzie moj sokole!
Bo spojrzyj tylko :

Oto wiedzy pole,

Bezbrzeżnej wiedzy, nie tej, co, przy ziemi,
Nie patrząc wyżej, usty lękliwemi,
Małym dziateczkom A. B. C. wykłada,
Nie tej, pokornej, co, ledwie się nada,
W codziennych potrzeb wąziutkim zakresie,
A tamtej, starszej, co chciej li, poniesie,
Myśl twoją, w podróż, przez światy, nad światy,
A tamtej, starszej, co, przesądów kraty,
Błędów kajdany, prawd krusząc taranem,
W rzeczy, nie w słowach, wszechstworzenia panem,
W rzeczy, nie w słowach, człekiem cię uczyni!
Otoś u progów jej boskiej świątyni!
Oto w nie kroczysz! Nie drzyj! Nie drzyj! Czego?
Wszak po krużgankach gmachu olbrzymiego,
Błądzić samopas, nie puszczą cię swoi!
Patrz! Przewodników, cały tłum się roi!
Bywalce tutaj! Źwierz im dłoń twą młodą,
A do « Sanctorum » bezpiecznie zawiodą,
A wytłumaczą, jak stąpać należy.
I przeszłość starą, co w grobowcach leży,

I przyszłość jasną, co, po nad sklepieniem,
Pełnym obietnic pali się promieniem,
I dzień dzisiejszy, co jest, będzie, było,
Co się trudami miljonów zdobyło,
Co ludzkość krwi swej kupiła potokiem,
To ci, przed myśli odkrywając wzrokiem,
« Patrz! » rzekną « Ucz się! »

Oto cnót skarbnica,
Bez których, wiedza, to li połowica,
Zasobów ducha, jedno jego skrzydło,
I na złych natchnień narażone sidło,
I nie dość szparko w lazur mknące nieba.
I tu ci także błądzić nie potrzeba.
I tu cię także dłoń czeka przewodnia.
« Nie idź tam, dziecię! Tam przepaść! Tam zbrodnia!
Omiń tę drogę! Stopom na niej ślisko,
To szlak namiętnych! Stój! Nie podchódź blisko,
Do tych skał chłodnych! To sobkowstwa głazy!
Tędy! Tak! Tędy! Ot złudzeń oazy!

Patrz na nie zdala, przelotnem spojrzeniem,
Lecz strzeż się zasnąć pod ich zdradnym cieniem,
I spiesz wciąż naprzód! Ot trudów ścieżyna!
Spadzista, stroma, do góry się wspina,
Przykra na pozór! Nic to! Bierz ją dziecię!
Ona najprościej prowadzi ku mecie!
Stań! Nie wznoś czoła! Ten wicher, to pycha,
On nazbyt pewnych, w dół z wyżyny spycha!
Spragnionyś może? Źwilż usta w tym zdroju!
To rodzinnego krynica spokoju,
On cię pokrzepi! I znów, jeszcze, dalej,
W te słońce prawdy, co się w górze pali,
Przez poświęcenia, przez miłości kraje,
Za głosem matki, co ci rady daje,
Śpiesz o dziecino! »

Jak tam zbłądzić Panie!
Gdzie drogę takie dyktuje szeptanie?
Jak się tam burzy dać pochłonąć marnie,
Gdzie przystań takie wskazują latarnie?

Małpa w podobnej hodowana szkole,
W lepszą by może wdrożyła się dolę,
I do człowieczych westchnęła godności!
Martwy głaz, kamień, pod takiej miłości,
Ożywczem tchnieniem, odrósł by od ziemi,
I ku niebiosom, skrzydły zyskanemi,
Mknąć by zapragnął! A człowiecze dziecię,
Te krwi książątko, te bóstwa na świecie,
Odwzorowanie, (według słów kościoła),
A ono jedno, miast w wciąż wyższe koła,
Doskonałości, świateł dążyć drogą,
A ono jedno, w noc błędów złowrogą,
Miałoby spadać? Nie! To niepodobna!

O bohaterko obrazku nadobna!
Margrabianeczko! Zaprzecz tej potwarzy!
Widzimy ciebie, w tłumie bakałarzy,
Widzimy ciebie, w gromadzie sawantek,
Patentowanych, drogich, guwernantek,
Patentowanych, drogich, guwernerów;

Widzimy ciebie, nad stosem papierów,
Nad stosem książek, i ksiąg, różnej treści,
Widzimy ciebie, jak, co się w nich mieści,
Za twych mentorów radą doświadczoną,
Połykasz myślą, wszechwiedzy spragnioną;
Widzimy ciebie, pod twej matki okiem,
Jako przed każdym czynem, ruchem, krokiem,
Zwracasz się ku niej, czekając, co powie;
Widzimy ciebie, w tej życia połowie,
Gdyś jeszcze prątkiem, co się zgina łatwo,
Jak nie obcujesz, chyba tylko z dziatwą,
Możnych sąsiadów, jak ty wychuchaną;
Widzimy ciebie, jak, codziennie rano,
Codziennie wieczór, przed świętym obrazem,
Klękasz do modłów, z ufności wyrazem;
Tak. Jednem słowem. Widzim cię dziecino,
Jak nad przyszłości schylona głębiną,
Łan życia, zdrowem posypujesz ziarnem;
I nie chcem wierzyć, by to wszystko marnem,
Było staraniem, i wierzyć nie chcemy,

By ten kapitał, moralnej tantiemy,
Nie przyniósł żadnej, i ufnie, i hardo,
Sam wniosek taki traktując z pogardą,
Wtórzym : Niesposób!

Przyszłość to pokaże!
Przyszłość wyświeci!

Pozwólcie. Niech marzę!
Czem przyszłość owa, bohaterko mała,
Może być dla cię, bylebyś zechciała :
Miękką sielanką, na natury łonie,
Odą tryumfu, w błyszczącym salonie,
Światowych bojów, modlitwą do Pana,
Do której nędza, przez cię wspomagana,
« Amen! » z wdzięczności doszepnie westchnieniem,
Tkliwą elegją, na dwa głosy pieniem,
Piosnką miłośną, zdala trosk lamentu,
I bez chrypłego akompanjamentu,
Cyfer, rachunków, innym narzuconych,

Dumką piastuńczą, nad główką uśpionych,
Dziatek, aniołków, potem wreszcie, z końca,
Kiedy przygaśnie dzienny promyk słońca,
Pod wieczór życia, gdy, szara godzina,
Rój hożych wnucząt skupi u komina,
Zanim się oczy na sen wieczny skleją,
Rzewną, a cichą, wspomnień odysseją,
Łabędzim śpiewem dopełnionej doli!

Tak! Chciej li dziecię! Bóg dobry pozwoli,
I plan ten jasny przyszłości marzonej,
Choćby i krzyżem strapień przekreślony,
Gdzieniegdzie, czasem, potwierdzi w zasadzie.
Prócz woli Jego, a twej, na zawadzie,
Nic a nic, zresztą, stanąć mu nie zdoła.
Owoce życia, spójrz tylko, dokoła,
Nisko źwieszone, same mkną do dłoni,
I smok ci żaden zrywać ich nie broni.
I byleś mistrzów radą ostrzeżone,
Ominąć chciało zgniłe, a zielone;

I byleś, byleś, u powodzeń szczytu,
Zgubnych się jadów utrzegło przesytu;
To, tryumf pewny, to, szczęścia na tyle,
Na ile ziemskie dać go mogą chwile,
Znać ci, mieć, dziecię!

Zawiść, brzydka wada,
I nie masz, wierzym, duszy, co by rada.
Jej, bez oporu, uległa, z ochotą.
Lecz dzieje ludzkie tak dziwnie się plotą,
Ale fortuna, to urągowisko,
Tych, tak podnosi, tych, spycha tak nisko,
Iż brak nam serca, iż brak nam sumienia,
Och! na ciśnięcie głazu potępienia,
Nieszczęsnym, którzy, pod klęsk ostrym knutem,
W sercu goryczą zawodów zatrutem,
Smętnym jej chwastom zaplenić się dali!
Przywilejowce! Wy, co lepszej szali,
W podziale ziemskich dzierżycie się bytów,
Łatwo wam, łatwo, o wzgardzie zaszczytów,

O wzgardzie bogactw, gdy te płyną rzeką,
Za filozofem, rozprawiać, Seneką!
Łatwo wam, innym, piękne radzić cnoty,
Spełnienia których, miejcie krztę szczeroty,
W danej okazji, duch wasz nie podoła!
Kto najedzony, jeść nie pragnie zgoła.
Kto wypoczęty, nie patrzy gdzie łoże.
Lecz gdyście syci, i w dobrym humorze,
A to, przyjnajmniej, z biesiad krocząc sali,
Tym, co nie jedli, i tym, co nie spali,
Wstrzemięźliwości nie radźcie z obłudą!

Motłoch zawidzi? Zapewne! Nie cudo!
Wszystko też, wszystko, popycha go k'temu.
« Czemu kto inny? Czemu nie ja? Czemu? »
Straszne pytanie, co się łatwo rodzi,
Tam, kędy echo uczt jednych dochodzi,
Do zwartych głodem kiszek drugich głębi!
Och! Ród człowieczy, to nie ród gołębi!
Żółci mu nie brak! Gdy ta nazbyt wźbierze,

Bywaj Maracie! Sam tu Robespierze!
Godzina wasza nad światem wybiła!
Czemu się dziwić? To reakcji siła!
Ślepa, jak wszystkie potęgi natury!
Na każdy, każdy, wielki nacisk z góry,
Olbrzymi wybuch z dołu odpowiada.
Odkąd świat światem, prawo te wciąż włada,
I póty, pono, władać nie przestanie,
Aż się planeta, w cudownej przemianie,
W raj nie przetworzy, aż, ziemskich padołów,
Bóg nie zaludni plemieniem aniołów,
Aż, pod nakryciem niebios rozjaśnionych,
Nie będzie silnych, ni upośledzonych,
Mądrych, ni głupich, rządnych, ni niedbałych,
Nadto niegodnych, nazbyt doskonałych,
Kary, więc zbrodni, buntów, więc niewoli,
Tego, co wścieka, więc tego, co boli,
Aż... Próżne słowa! Czekaj babo lata!

Równość utopją na przestrzeniach świata!

Żaden terroryzm, wszak, gilotynami,
Niezdoła karłów zrównać z olbrzymami!
Żaden nihilizm, ostrzem krwawych noży,
W czaszki idjotów, jenjuszu nie włoży!
Część kapitału, dziś podzielonego,
W trójnasób wzrosła jutro, u skrzętnego,
U marnotrawcy, na wiatr się rozwieje!
Tychże występków, tychże cnót koleje,
Powiodą jednych, gdzie wzrost, kędy sława,
Drugich, gdzie hańba, upadek! Spryt, wprawa,
Intryga, zręczność, odwaga, wytrwanie,
Wcześniej, czy później, świata panowanie,
Dadzą w dłoń zdobnych przymiotami temi!
Raz tam, u szczytu, raz, wśród potęg ziemi,
Wielcy, szczęśliwi, przylgną ku nim duszą,
I władz się swoich nadużyć pokuszą!
Raz w dole, nisko, w odwetu nadzieji,
Mali, o buntach zamarzą, z kolei!
Zacznie się walka, jak dziś, walka krwawa!
Z niej, dyktowane przez zwycięzców prawa,

Zakwitną gwałtem, nad pobitych zgrają!
Zawiść, nienawiść, nazad odzyskają,
Sens swój dziesiejszy, i, wygranej tyle,
Zniwelowana, przypuszczam, na chwilę,
Ludzkość, do dawnych powracając torów,
Nie źmieni sztuki, źmieni li, aktorów! —

Więc, nie masz rady! Daremne pragnienia!
Więc ten ideał, co się rozpromienia,
Na niebie młodych, i podniosłych, marzeń,
Nigdy nie znijdzie w tok dziejowych zdarzeń?
A więc, Bóg dobry, żartem li, na drwiny,
W gorętszych sercach, poczucie rodziny,
Na człowieczeństwo rozprzestrzenił całe?
A więc ideje w teorji wspaniałe,
W praktyce, czczemi, błahemi, być mogą?
Więc fatalnością potępiona srogą,
Ludzkość, bądź co bądź, skazana na zbrodnię,
Ku dobru, w górę, szarpiąc się bezpłodnie,
Spadać ma na dół, wieczyście, bez końca?

A więc, mój Boże! pod promykiem słońca,
Co wszystkim równo zdrój leje żywota,
Niewola, nędza, ubóstwo, hołota,
Wiecznie się straszną czernić muszą plamą?
Więc poki światu, póty wciąż tak samo,
Rasowe walki, kastowe podziały,
Muszą ćwiertować, ludzkość, na kawały?
I nigdy miru! I nigdy rozjemu!
Równość utopją! Tak! Dobro, któremu,
Nikt się w zasadzie przeczyć nie ośmieli,
Dobro to głupstwem, kiedy się w czyn wcieli!
Chaos w sumieniu! Gdzie prawda? Fałsz kędy?
Błędy konieczne, tem samem nie błędy!
I złe przed którem nikt umknąć nie zdoła,
Jest że złem istnie? Możeż być złem? Zgoła!
Zadrzemcie chore do prawdy pretensje!
Zadrzemcie! Wszechświat stoi na nonsensie!

Zamilcz szalony! W przystępie zwątpienia,
Nie bluźń przyszłości człeczego plemienia!

Zrodzone w dole, z garści wzrosłe błota,
Krewkie stąd ciałem, napróżno się miota,
Nie może, raptem, dźwignąć się do nieba!
Czyśćce wprzód błędów, przebyć mu potrzeba!
Droga nużąca, cel trudów daleki,
Celem tym zacnieć, pewno, lecz przez wieki!
Czem są przebyte? Niczem. Mgnieniem chwili.
Ludzkość dotychczas dzieciną, co kwili,
Co, chociaż mniema, iż wszystko już zgadła,
Nie umie, jeszcze, nawet abecadła.
Choć szlak jej losów, wiedzie przez cmentarze,
Ni piędzi naprzód nie otrzyma w darze,
Każden krok musi zdobywać przebojem,
Strugą krwi spłacić, łez zapłacić zdrojem.
Nim się nauczy, jako ogień pali,
Dobrze wprzód sobie skrzydełka przysmali.
Nim się nauczy, jak kaleczą noże,
Dobrze wprzód niemi zrani się nieboże.
Te wszystkie wasze z przeznaczeniem zwady,
Och! To sobkowskie mrówek jeremiady,

Nad tem, iż wszechświat, gwoli mrówczych chęci,
W krąg ich mrówiska, czemuś się nie kręci.
Liche jednostki, krople w oceanie,
Miast spełniać, cicho, każda swe zadanie,
Szarpiem się, mioczem, chcemy wraz, wszystkiego,
Niedopieczeni, niedopiecznego,
Kurczęta, pragniem gdakać, gdyby kury,
Ziółka przy ziemi, drzewem mknąć do góry,
Niezasłużeni, patrzym za zapłatą,
Nie wzniosłszy murów, wznosim dach nad chatą!

Równość utopją! Jaka równość, która?
Czy ta, bezwzględna, wbrew której, natura,
Ciągłe gradacje stawia nam przed oczy?
Czy ta, wbrew której, skrzek żabi, lub sroczy,
Z śpiewem słowika w zawód iść nie może?
Czy ta, wbrew której, lot sokoli porze,
Strzeń, hej, podniebną, a lot wróbla, nisko,
Ledwie się czasem wźbija nad śmiecisko?
Czy ta utopją? Pewno! Nikt nie przeczy!

Nikt by jej zresztą, nie chciał w samej rzeczy.
Bo równość taka, byłaby zniszczeniem,
Zagładą piękna, dobra zatraceniem.
Bo równość taka, byłab' niedołęztwem,
Tryumfem głupstwa, brzydoty zwycięztwem.
Bo, pod jej skalę świat podsunąć cały,
To, wszystko mierne wznieść na piedestały,
To, zabić postęp, to, zabić szlachetność,
Podniosłość czynów, i, pomysłów świetność.
To, miast iść w górę, spadać na dół gwałtem,
To, gdy niesposób, wszystkich hej, ryczałtem,
Zmienić w półbogów, wszystkich hej, bez względu,
Precz, do półgłówków redukować rzędu.
Nie! Równość taka, złych li tylko skusi,
Ona utopją była, jest, być musi! —

Lecz tamta za to, tamta, prawdą lśniąca,
Tamta, co ludzkie fawory roztrąca,
Tamta, co zasług uznaje li prawo,
Tamta, co gardzi, w spadku wziętą sławą,

Spadkowym groszem, co nie zna paniczów,
Ni bankierczuków, ni hetmanowiczów;
Tamta, co nie chce, by jej sądów szali,
Krwią, lub też złotem, ludzie fałszowali;
Tamta, co wzbrania, by na życia boje,
Jeden szedł nago, drugi wdziewał zbroję;
Tamta, tak, tamta, matka sprawiedliwa,
Co mówiąc synom : « Niech każdy zdobywa,
Plac swój na świecie! » Żadnego z nich, zgoła,
Do bezczynnego życia nie powoła,
A nieudolnym, w macierzyńskim żalu,
Jedyne miejsce przeznacza, w szpitalu!
Tamta, choć dotąd zaznana, zgwałcona,
Za baśń u lichych uchodząca grona,
Tamta, choć świt jej, po za kłamstw obłokiem,
Przed krótkowidzów utajony wzrokiem,
Ledwie że, ledwie, wschód dotąd rumieni;
Tamta, utopją nie jest, o zwątpieni!
Tamta, zwycięztwo pracy, nad przypadkiem,
Tamta, przyjść musi, i przyjdzie! Bóg świadkiem!

Ku niej, powoli, wciąż, przez pokolenia,
Wszechludzkość dąży, jako do zbawienia,
Ją, w jej duchowej, nie ziemskiej, połowie,
Przeczuli wszystkich wiar apostołowie,
Dla niej, do świeckich stosując ją rzeczy,
Źle, lub zawcześnie, zbłąkany ród człeczy,
Krwi przelał strugi. Każdej piersi młodej,
Jako promyczek niebiańskiej pogody,
Ona się śmieje. Zastępom jej wrogów,
Sługom wczorajszych, spaść mających, bogów,
Na protest jawny przeciw niej, brak czoła.
Bluźniąc po cichu, przepaście do koła,
Kopiąc podstępnie, na jej marszów drodze,
Drżąc przed nią, w bladej niedołężnych trwodze,
Zwąc ją utopją, czemś, co się nie wcieli,
Złem jej mianować, nikt się nie ośmieli!

Roztwórzcie stare pradziadów kurhany!
Sztywnym snem śmierci od wieków zaspany,
Huf możnowładzców, przebudźcie na chwilę!

Wskażcie im, odkąd, w zapomnień mogile,
Pan Bóg, na drzemkę, ułożył ich ciało,
Co się tu bez nich, na ziemi zdziałało!
Wskażcie im, wskażcie : źmiękczone zwyczaje,
Ludźmi uznane niewolników zgraje,
Prawo nad niemi śmierci, a żywota,
Odjęte sile miecza, lub też złota,
Jak przed statutem, co nad wszystkiem włada,
Ktoby to nie był, każdy odpowiada,
Jak, za wyrokiem nemezis ludowej,
I pomazańców, w dół się toczą głowy.
Wskażcie im, wskażcie, to wszystko zarazem,
A drzemać nazad, pod mogilnym głazem,
Kładnąc się cicho, każden z nich, z osobna,
Głosem zdumienia, szepnie : « Niepodobna! »

Tak się tu wszystko przeobraża z rzędu.
Co wczoraj miano nosiło obłędu,
To dzisiaj, prawdą, ślepym w oczy kole.
Nic darmo! Pewno! Porodowe bole,

Szarpią ludzkości macierzyńskiem łonem!
Przeszłość się broni, broniąc się, przed zgonem,
Zanim zwalczona w otchłań czasów runie,
Sporo walczących, w smętnym wprzód całunie,
Do chłodnej z sobą, pociągnie mogiły!
Niechaj ci giną! Mniejsza! Z martwej bryły,
Ciał ich mizernych, duch wzleci zwycięzki!
Aż miną boje, przeminie wiek klęski,
Aż pryśnie prawdy sprośne niewolnictwo,
Sankcja próżniactwa, głupoty, — dziedzictwo!!

Gdy czas ten przyjdzie, na polu walk płodnych,
Ni sytych z rodu, ni też z rodu głodnych,
Nie będzie zgoła, będą tylko tacy,
Co chcą pracować, lub co nie chcą pracy!
Gdy czas ten przyjdzie, na polu wszechczynów,
Nie będzie łatwych dla jednych wawrzynów,
Trudnych dla drugich, jak to dzisiaj bywa,
Będą li laury, dla zdolnych do żniwa!
Gdy czas ten przyjdzie, jak się to dziś zdarza,

Nie będzie mędrców z łaski sekretarza,
Wodzów z kołyski, cnót, co tem coś warte,
Iż nie padają, kiedy są podparte;
Nie będzie, zapłacz kto na wiano łasy,
Nie będzie ślubów w imie pani kassy;
Pomiędzy braćmi, co którego łupem,
Nie będzie sporów nad ojcowskim trupem;
Nie będzie fałszerstw na nadgrobków głazach,
Nie będzie tkliwych zapałów, w wyrazach,
Nie będzie podchlebstw, bluźnierstw, kłamstw bezczelnych
Fars pogrzebowych, komedji weselnych;
Wstanie świat inny, tem od dzisiaj różny,
Iż swym dostatkiem sobie tylko dłużny;
Wstanie świat inny, tem lepszy, tem cenny,
Iż własną tylko zasługą promienny!

Każdy z czytelnych, ufamy w ich względy,
Łatwy tu przeskok pojmie do gawędy.

Podczas gdy jedna z naszych bohaterek,

Pomnicie może? Wsparta o odźwierek,
Przed pierwszym, z domu, hej, na zewnątrz krokiem,
Na tłum uliczny trwożnem patrzy okiem;
Podczas gdy sama jak palec, wśród puszczy,
Gorzej, wśród chłodnej i szyderczej tłuszczy,
Przeczuciem jakiemś ostrzeżona wieszczem,
Źgiełkom się życia przysłuchuje z dreszczem,
I w nadchodzącej tuż, tuż, prób godzinie,
Liczyć na Boga może li jedynie!
Druga, margrabskich dziedziczka godności,
Strojna w sukienkę śnieżystej białości,
Błękitnej szarfy przepasana zwojem,
Pod ochmistrzyni, i mamy, konwojem,
W miękkiej kolasie puchami wysłanej,
Na bal dla dzieci, gdzieś w sąsiedztwie dany,
Pierwszy bal w życiu, wybiera się rada.

I po raz czwarty kurtyna zapada.

OBRAZEK V

—

JEDNA

Tu znów lat kilka, nie rok nam, za rokiem,
A jednym, śmiałym, przesadzić trza skokiem.
I choć, długiemi znużonych marszami,
To tu, to ówdzie, cień spoczynku mami,
Choćbyśmy chcieli, wygodnym się, czasem,
Na skręcie drogi rozłożyć popasem,
Mus, ten despota, ku mecie, zdaleka,
Wskazując palcem : « Czas » krzyczy « nie czeka ! »
W dalszą więc drogę wieczysty pleciugo!
Po nad ruczajem, nad przejrzystą strugą,

Gdzie duszy spokój, gdzie ciału wygody,
Nie tobie miękkiej używać swobody!
Nie tobie, gwoli fantazji chwilowej,
Śpiewać, co myśli przyniosą do głowy!
Zacząłeś powieść? Skończyć ją wypada!
Dług zaciągnąłeś? Zapłać! Trudna rada.
Istny galernik, do nóg sobie kulę,
W tejś oto książki przywiązał tytule.
Tytuł ten jasny, w głębiach mózgu twego,
Potrzeba jasnym zrobić dla każdego,
Usprawiedliwić, dobitnie, na serjo,
Argumentacji donośną baterją,
Podeprzeć, wzmocnić, przed krytyk nawałem,
Racji, dowodów, jak najkrzepszym wałem.
Cyrograf straszny, święta obietnica,
» Verbum nobile! » poety szlachcica,
Tytuł drogoskaz « Tam, a nie gdzieindziej! »
Zdaje się mówić, » maszeruj asindziej! »

O jak znośniejszym zawód jest malarza!

On, na swem płótnie, pędzlem wyobraża,
Jeden li moment z bohaterów życia,
Jemu nie trzeba wywlekać z ukrycia,
Ni chwil, co będą, ni tych, co już były,
On, rzeczy wątek splątany, zawiły,
Tam przecinając gdzie mu z tem jest składnie,
Resztę, na domysł patrzącego kładnie!
Zawód pisarski ma się wzręcz inaczej:
Gawędziarz musi, imć-panów słuchaczy,
Na galanterji sadząc się wykwinty,
Przez swych pomysłów kręte labirynty,
Przewieść za rękę, musi im tłumaczyć,
Iż taki ustęp tylko to ma znaczyć,
Nie co innego, iż taki znów, Boże!
W przenośni tylko przyjętym być może,
A nie dosłownie. Gwałtu! Co się dzieje!!
A bohaterów życiowe koleje?
Gammy ich uczuć, kaprysy, pragnienia?
Raptowne, nieraz, serc ich przemienienia?
Myśli zygzaki, namiętności burze?

Nie w mig wybuchu kuć nam je w marmurze,
Nie barw przepychem, zanim się przesili,
W kulminacyjnej zakrysztalać chwili,
A od początku, do końca, do kresu,
Jak instygację jakiego procesu,
Uwadze waszej, słuchacze, sędziowie,
W krnąbrnem, w niesfornem, prezentować słowie.

Lecz k'czemu skargi niewczesne, spóźnione?
Lica pomięte, skronie spopielone,
Mówią, iż nie czas, nie czas mi, niestety!
Rzucać kałamarz, brać się do palety!
Iż inkaustowej czerni pomazaniec,
Z trudem na obcy wydrapię się szaniec!
Iż dłonie moje niezgrabne, i drżące,
Dwa, jednocześnie, chwytając zające,
Zwyczajnym trybem, nader się poszkapią,
I tego puszczą, i tego nie złapią!
A zatem trwajmy przy dawnej ochocie,
I choć nas marzeń ponętniejszych krocie,

Od żmudnej pracy odrywa co chwila,
Nie udawajmy lekkiego motyla,
W wietrzne się zgoła nie wdając podróże,
Choć już przywiędła, starą pieśćmy różę!

Przywiędła? Gdzie zaś? Róża, której dzieje,
Na plac powieści wywodzą koleje,
Świeża, bo ledwie że z pączka wykwita.
Dziewczynce naszej, rok szesnasty świta.
Szesnasty roczek! O magiczne słowo!
Ledwieś je wyrzekł, wnet, barwę różową,
Wszystko na okół, zdaje się przybiera!
Wnet słońce raźniej z po za chmur wyziera!
I wnet, w przestrzeni, pełno aromatów,
Cudownych, jakichś, wyobraźni kwiatów!
Magiczne słowo! Co w niem jest czystości!
Zapałów, natchnień, iluzji, ufności!
Kto mówi : « młody » mówi : « pełen wiary »
» Zdradzony » rzecze, kto powiada : « stary »
Młodzieńcza dusza, jak wyszła z rąk Pana,

Łzami aniołów gdzieś tam wykąpana!
Młodzieńcza dusza, gość prościutko z nieba,
Co nie miał czasu, i na to go trzeba,
Skalać swych skrzydeł dotknięciem do ludzi!
Dusza młodzieńcza, którą wszystko łudzi,
Której, zrodzonej kędy cudów kraje,
Wszystko się łatwem, i pewnem, wydaje!
Ufna, naiwna, duszyczka młodzieńcza,
Rajską się piosnką, w słowie tem rozdźwięcza!

O, i przeklęty, po trzykroć przeklęty,
Ten, który pierwszy, w brudne życia męty,
Źwiedzie jej białość! Ten, kto, dla swawoli,
Sprośnej się kata podejmując roli,
Zetrze z jej skrzydeł bożych pieszczot znamię!
Kto jej ufności, kto jej wiarom skłamie!
Kto biedną wątpić w wszechdobro nauczy!
Zbój, co po szlakach przejezdnych hajduczy,
Złodziej, co cudze plondruje kieszenie,
Mniej czarną plamą kala swe sumienie!

Jeślib, z kodeksów ludzkich arsenału,
W miłosiernego porywie zapału,
Wszechzbrodniom, zgoła, darując bez względu,
Ktoś, wszystkie kary chciał wymazać, z rzędu;
To dla tej jednej, sprawiedliwość, wierzę,
Musiałab' nowe stanowić pręgierze.
Rwać ciało w kęsy, zabijać, mordować,
Krwią się upijać, w jękach się lubować,
Nic to, nic jeszcze, źwierzęcości skala,
Czyn godny bestji, hyeny, szakala!
Lecz duszę ludzką, arcydzieło Pana,
Spychać w toń brudu, to zbrodnia szatana!

O ty ohydny Don-Żuanów rodzie!
W dziwacznej niegdyś u poetów modzie!
Ty, coś natchnienie rozbudzał bez żartów,
W piersi « Molierów, » « Bajronów, » « Mozartów » !
Kaprysem mistrzów aż do piękna szczytów,
Wzniesiony, rodzie brudnych wołokitów!
Och jakbym chętnie maskę ideałów,

Zdarł ci z oblicza! Jakbym, z piedestałów,
Kędy cię chora dźwignęła ochota,
Do twej ojczyzny zepchnął cię, do błota!
Tyś poetyczny? Ty! Sobkowstwa synu?
Coś i w złem nawet nie uszczknął wawrzynu,
Na ołtarzykach twej bezecnej wiary,
Liche li, słabe, święcąc wciąż ofiary?
Tyś poetyczny? Ty? Kat? Wiarołomca?
Zwodziciel ufnych? Bezbronnych pogromca?
Zdobywca fortec, co się same zdają?
Zuch do wrót takich, co ryglów nie mają?
Tyś poetyczny? O nie! Jako żywo!
I ktoś wiedziony manją chorobliwą,
Poezji w złego szukając rozkwicie,
Może ją znaleść, przypuszczam, w bandycie,
W opryszku, w zbójcy, w « Kartuszu » w « Mandrynie »
W dzikim korsarzu, co, na fal głębinie,
Świat i naturę wyzywa na boje,
Ale nie w tobie wilku, któryś zbroję,
Przeciwko owcom przywdziewał li śmiało!

Oh! Gdyby niebo zagniewane chciało,
Zlać na mnie missję skarcenia cię srodze!
To jabym zuchu, na twych figlów drodze,
Nie biały posąg, widmo komandora,
A z rózgą w ręku, postawił mentora,
Co by cię z świata z mniejszą spędził grozą!

Mówcie, żem na wskroś płaską przesiąkł prozą.
Mówcie, żem piękna nie pojął w istocie.
A wymuskanych perukarzów krocie,
A tłum kupczyków strojnych od niedzieli,
Zdanie to wasze z zapałem podzieli.
W ich to, albowiem, wycackanej zgrai,
Dziś się najwięcej Don-Żuanów czai.
Po pudrowanych, « Lauzun'ach, Faublas'ach, »
Oni to spadek przyjęli w tych czasach.
« Richelieu » dzisiaj, poznał by się, wierzę,
W lśniącym od pomad komiwojażerze,
I w skandalicznych, « œil de bœuf » kronikach,
Nie o markizach, a o tenorzykach,

Sporo detalów czytać się dziś daje.
Tak się to tutaj równają zwyczaje,
I demokracja złego, prędzej pono,
Niż każda inna, w ludu wsięka łono!

Wilją świąt każdych, pod wieczór, w sobotę,
Na tej młodzieży raczcie spojrzyć rotę,
Kiedy wzdłuż ulic, przechadzek, bulwarów,
Błękitny dymek puszczając z cygarów,
W czarownym wdzięku swych kraciastych strojów,
Na plac serdecznych puszcza się podbojów.
Jakie uśmiechy! Miłosierny Chryste!
Jakie spojrzenia ostro-płomieniste!
Do niewiniątek, co słuchu użyczą,
Jak melodyjnie, jak dźwięcznie, słowiczo,
Brzmiące dusery! Jakie przytem tony!
Nader li skromni szyją się w barony,
Dla ambitniejszych, i tego za mało,
Hrabiami siebie tytułują śmiało.
Ledwie za drzwiami ze sklepu, lub z bióra,

Zaraz codzienna precz się zwleka skóra,
Natychmiast nowa wdziewa się dla świata,
Znikł kędyś kupczyk, jest arystokrata!
I rozpowiada szeroko i długo,
O dobrach ojców nad Garonny strugą,
O rodzicielskich w Hiszpanji zamczyskach,
O świetnych swoich, « in spe » stanowiskach;
I rozpowiada o uczuć hazardzie,
O swojskiej zacnym blichtrów tych pogardzie,
O tem, jak często, amor figlarz, mami,
Do jednych sideł, królów z pasterkami,
O tem, jak słodko będzie im na świecie,
(Mowa do lubej, łatwo zrozumiecie,)
Gdy, uwzględniwszy szczere ich płomienie,
Ojciec na śluby przyszle pozwolenie.
Lecz, (w tem sęk główny,) na to czekać trzeba,
A tu wre serce, a tu widzą nieba,
Iż dłuższy żywot, bez niej, bez anioła,
Przedwcześnie, z świata, zgładzić ich podoła.
« Słuchaj jedyna! Nie broń! i tak dalej, »

Don-Żuanowie ci, maluczkiej skali,
Tym oto trybem, nierząd, wstyd, swawolę,
W młodych wyrobnic zaszczepiają kole.

Tryb to już stary, zużyty, powiecie?
Dla nas? Zapewne! Lecz naiwne dziecię,
Co świat li z okien widziało poddasza,
I co go pędzlem marzeń swych okrasza,
Naiwne dziecię, co mniema, iż wszędzie,
Jak w jego dumkach, wszystko łatwem będzie,
Co nie przypuszcza, iżby mu kłamano,
Ktożby chciał? Skądże? Co, o niebios wiano,
O czystość duszy, tem mniej dba, mniej stoi,
Iż obce brudom, brudów się nie boi,
Naiwne dziecię, ślepe swą ufnością,
Swym optymizmem, swą nieświadomością,
Spragnione wrażeń, przeczutych, dojrzanych,
Tem ponętniejszych, im bardziej nieznanych,
Gorączką zmysłów, młodej krwi ukropem,
Naprzód, z szalonym pędzone pochopem,

Dziecię sierota, co mu nikt nie stróży,
Nikt nie sterniczy, w życiowej podróży,
By dziecię takie, tak bezbronne oto,
Zwieść z prostej ścieżki, w wstydu zepchnąć błoto,
By względem niego rolę kusiciela,
Podjąć z sukcesem, trzebaż Machjawela?

Bynajmniej! Zgoła! Lada kto z tej rzeszy,
Wraz opisanej, podjąć ją pośpieszy,
Lada kto byleb', pierwszy stał u mety,
Byleby pierwszy, « Kocham! » te, niestety!
Magiczne : « Sezam! Otwórz się serduszko! »
Na chciwe hołdów szepnął zręcznie uszko,
Lada kto zgubą duszyczki młodzieńczej,
Tym świetnym laurem, czoło swe uwieńczy.
Nie trzeba na to szczególnych przymiotów,
Przemądrych planów, strategicznych zwrotów,
Nie trzeba na to, dla pełni zwycięztwa,
Ni cnót, ni wdzięków, ni sprytu, ni męztwa.
Dosyć bezwstydu, czupurnej fantazji,

Gładkości w fałszach, cynizmu w perswazji,
Dość obstawania przy swojem, rzecz błaha,
Dosyć sumienia, co się nie zawaha,
Przed konsekwencją popełnionej zbrodni,
Dość brzydkiej duszy. Śpieszcie się o godni,
Naśladownicy szlachetnych przykładów!
Od łokcia, kredki, z biór, z sklepików, z składów,
Śpieszcie się, śpieszcie « Lovelac'y » dzielni!
« Pseudo — Lauzun'y »! « Richelieu » niedzielni!
Śpieszcie się, śpieszcie, zbliska i zdaleka,
Popis otwarty, i ofiara czeka!

Ofiara czeka. Na rzeź dane jagnię,
Pod nóż oprawcy sama kark swój nagnie.
Ufna ufnością aniołów przed grzechem,
Na kata swego spogląda z uśmiechem,
Ledwie nie gniewna, iż jej długo szczędzi,
W przyszłość marzoną rada pomknąć prędzej,
Wabi go k'sobie, o! Naturo płocha!
Wdzięczna za wybór, tuli się doń, kocha!

A on świadomy, co czyni, gdzie kroczy,
A on, ktorego doświadczone oczy,
Żadnych illuzji nie kryte zasłoną,
Patrzą się w biednej przyszłość zniesławioną,
A on bezczelny, który wie, iż kłamie,
On, który zdawna, w biórze swem, czy w kramie,
Na « Montepin'a » romansach, powoli,
W uwodziciela wyćwiczył się roli,
A on nikczemny, z zimną krwią, bez drzenia,
Bez uśpionego wyrzutów sumienia,
Jak gdyby czynił rzecz błahą w istocie,
Niewinną duszę uśmierca w jej cnocie,
Więc, w egzystencji!

Na tej śliskiej drodze,
Pierwszy krok wszystkiem. Ach! Trudno niebodze,
Trudno tej, która, w zmysłowym obłędzie,
Spadła raz na dół, za strome krawędzie,
Tego niewieścich bytów Rubikonu,
Co się zwie cnotą, trudno jej do zgonu,

Bez nadzwyczajnej siły, lub przypadku,
W coraz to głębszym wstrzymać się upadku.
Darmo, w ohydne staczając się ciemnie,
Będzie się szarpać, i zżymać! Daremnie,
Ratunku błagać! Nemezis światowa,
Dla seduktora względy swe zachowa,
Za całą karę, łagodnie, bez krzyku,
Grożąc paluszkiem, szepnie mu : Zbytniku!
A co ofjarę, to, z wielkiem zgorszeniem,
Wszech swych potępień, przywali kamieniem!

Nemezis świecka? O! Jronji szczycie!
Jaka się tutaj, w postępów rozkwicie,
Pod owe miano, podszywa maszkara!
Sprośna przekupka! Stręczycielka stara!
Co, kłoniąc ucho kędy pieniądz dzwoni,
Dwie różne wagi w wyschłej dzierży dłoni!
Co, miłosierna dla silnych, w odwecie,
Słabych, upadłych, we dwójnasób gniecie!
Co nie przebacza, jak tylko tam, słowem,

Gdzie się jej, jakiemś, odwdzięczą łapowem!
Nemezis ludzka?! O głupiż ten, głupi,
Który za prawdę jej wyroki kupi!
O, i szalonyż, po trzykroć szalony,
Ten, który, w walce z losem, zwyciężony,
Przed jej trybunał apelację wniesie!
To jakby owca na wilka gdzieś w lesie,
Iż ją bezprawnie skaleczył, uparta,
Szła apelować do lwa, lub lamparta!
Nemezis świecka?! Winien, czy bez winy,
Mniejsza! Kto dla tej lub owej przyczyny,
Słusznie, niesłusznie, wyzwał ją, i, Boże!
Sądów jej zgwałcić, ni kupić, nie może,
Niechaj ucieka, niech stroni od jędzy!
Gdy broił... prędko; gdy nie broił... prędzej!

Spadaj więc biedna! Spadaj w przepaść kału!
Za jedną chwilkę żądzy, marzeń, szału,
Na dożywocie bezwstydu skazana,
Na miłosierdzie licz raczej szatana,

Niżli na ludzkich sądów pobłażanie!
Świat ci przebaczyć? A cóż mu w zamianie,
Co mu dać zdołasz? Czy łzy twoje? Skruchę?
Dobrą poprawy na przyszłość otuchę?
Dozgonną wdzięczność? Cha! Cha! W oczach świata,
Nader to licha, i płonna, zapłata!
Zaważyć może, tam, przed Bożym tronem,
Przed miłosierdziem Niebios nieskończonem,
Na szali Chrysta! Lecz nie tutaj biedna!
Nie tutaj wcale!

Tu, z dwóch rzeczy jedna,
Jeśli bądź co bądź, w twej zelżonej duszy,
Pierwiastek dobry oprze się katuszy,
Jeśli w piekielnej sromów, hańb, powodzi,
Ach! Cóż dziwnego? W złe się nie przerodzi,
Jeżeli zbrojna, jak anioł strącony,
W zatrute jadem wszech-doświadczeń szpony,
Nie zechcesz, mszcząc się, w odwetu nadziei,
W innych je sercach zatapiać z kolei,

Gdy, jednem słowem, ach! często to bywa,
Ofiara bierna, łagodna, cierpliwa,
Nad wrzawę walki, zemsty upojenie,
Przeniesiesz ciszę, spokój, zapomnienie;
A to wieczorem, o zmroku, lub z rana,
Śpiesz kędy mętna pieni się Sekwana!
To do węglarza pobiegnij ukradkiem,
I za złotówkę kup węgli dostatkiem!
A fale rzeki, od ludzi łaskawsze,
Srom z ciebie, hańbę, obmyją na zawsze!
A gaz zatruty, w izdebce ci twojej,
Troski żywota, gdyby nic, ukoi! —
Tak jest! Umieraj!

Jeśli zaś, odwrotnie,
Niż zginąć cicho, raczej żyć sromotnie,
Niżli przebaczyć, mścić ci się zapragnie,
Jeśli, w ohydnem rozwiązłości bagnie,
Straciwszy wszystko, co człecze, zbluzgana,
Szałem rozpusty, i złością, pijana,

Rodzinne związki, zakon Boży, prawo,
Wyźwiesz na walkę, bez pardonu, krwawą,
To.... zysk nie wielki.

Bo zginiesz tak samo,
A tylko z brzydszą na sumieniu plamą!
To, korzyść błaha, bo, tych gwałtów chwilką,
Światu nie zmożesz, rozgrzeszysz go tylko!

Pomiędzy piątą, a szóstą, wieczorem,
W lasku Bulońskim, wzdłuż, po nad jeziorem,
Byleby błysnął jasny promyk słońca,
Rząd ekwipażów snuje się, bez końca.
To Paryżanie, różnych barw kaskadą,
Tłumnie, na spacer przedobiedni jadą.
Co drugi zaprząg, najwięcej co trzeci,
Z głębi powozu, spojrzyj tylko, świeci,
Gdy obcy termin słuchu wam nie zrani,
Złocisty « szynion » jakiejś pięknej Pani.
Co trzeci pojazd, najwięcej co czwarty,

Z po za wachlarzu, co na wpół roztwarty,
Z za parasolki, woalu przezroczy,
Podmalowane innej lśnią się oczy.
Baczny przechodzień dostrzeże, z oddali,
Jakim wyrazem oko się te pali.
Baczny przechodzień dojrzy, choć nie zbliska,
Z po za uśmiechu, jakim piękna ciska,
Gdy ten ku niemu zabłądzi, z areny,
Coś nakształt głodnej szczerzenia się hyeny.

Tak. To są hyeny, ciągnące gromadnie,
Na żer serc młodych, łowiących się snadni
Tak. To są hyeny, patrzące z ukosa,
Czy gdzie krągłego nie wytropią trzosa.
Rozżarte na świat, w którym widzą wroga,
Na społeczeństwo, na rodzinę, Boga,
Siejąc za sobą, w smętnym swym pochodzie,
Rozpacz, ruinę, łez i krwi powodzie,
« Kokoty, » « Piewry, » « Lorety, » któż zbadał,
Wiele im nazwisk świat struchlały nadał?

Idą, gdzie? Kwestja. Mkną, kędy? Pytanie.
By straszne zemsty spełniwszy zadanie,
Skonczyć karjerę, bez wieści, bez żalu,
W domu warjatów, w więzieniu, w szpitalu,
Na kupie śmiecia, w rynsztoku najczęściej,
Z miotłą, lub z hakiem gałganiarskim, w pięści!

Rzuć im kamieniem, zacny mój purysto!
Rzuć, jeslić tylko na sumieniu czysto!
Jeśliś, w przeklętej tych nieszczęsnych doli,
Żadnej, choć biernej, nie odegrał roli!
Jeśliś jest pewnym, iż, w danym przypadku,
Ty byś się lepiej podźwignął z upadku,
I raz tam w dole, raz w toni, raz w błocie,
Wybrnąwszy z niego, znów bił czołem cnocie,
Poszeptom złego odmawiając ucha,
Chodź! Złóż przysięgę! Pomnij! Niebo słucha!
Niebo, co patrzy w głąb człowieczych piersi!
Co zna ich tajnie! Eh! Bądźmy raz szczersi!
Nikt z nas, nikt zgoła, z wyjątkiem, tam, świętych,

Kiedyś... bywałych? Dziś... już w niebo wziętych?
Nikt z nas, nikt zgoła, w okazji, w potrzebie,
Nie mocen ufnie ręczyć jest za siebie!

Ten, bezpośrednio, zbrodzień, zgrzeszył czynem;
Ten, złym przykładem; tamten, gdy nad gminem,
Los mu, pozycja, źwierzyły frasunek,
Inercją w pracy; tamten, gdy trafunek,
Źwiódł go z ofiarą, co się w przepaść kłoni,
Zapóźnem zbawczej wyciągnięciem dłoni;
Wszyscy, czemśkolwiek, i Bóg, co nie błądzi,
Gdy czyny ludzkie kiedyś tam rozsądzi,
Łającym biedne, w sądu krzyknie chwili:
« One złe tworzą! Wyście je stworzyli! »

Fakt dopełniony. Biedne nędzy dziecię,
Bez opiekuna, bez stróża, na świecie,
W przepaść zepsucia, co czeka łapczywa,
Upaść musiało, tak zazwyczaj bywa.
I gdy w jej nurtach bez ratunku tonie,

Pan uwodziciel, na pogodne skronie,
Białą, być może, włożywszy szlafmycę,
Do snu cichego przymyka źrenice,
I żadne zmory, karę wieszcząc Bożą,
Spokojnej drzemki poczciwca, nie trwożą.
Świat go rozgrzeszył. Jeśli, jak nie rzadko,
Krągłej fortunki dorobi się gładko,
Jeśli krajowi z zysków, i z dostatków,
Należną ilość zapłaci podatków,
To któż z znajomych, kto, z sąsiadów koła,
Z czcią przed wielmożnym, nie uchyli czoła?
To kto po uścisk, nadaremne lęki,
Chętnej doń, szczerej, nie wyciągnie ręki?
Kto, gdy ambicji zawita dlań pora,
Na deputata, mera, senatora,
Kto mu ufnego nie użyczy głosu?
Nikt. Sprawca jednej zhańbionego losu,
O losie innych, może, syt godności,
Radzić, w sędziwej zasiądzie starości, —
Wtedy, gdy ona!....

Ach! Jeśli się zdarzy,
Iż syn, wnuk jego, kiedyś tam, zamarzy,
O płatnych wdziękach jakiejś zalotnicy,
Jeśli dostatki, z ojcowskiej skarbnicy,
Puści na wiatry, dla błahej swawoli,
Jej wymaganiom, jej kaprysom, gwoli,
Jeśli zniszczony do szczętu, w rozpaczy,
W stryczku, lub w kuli, dopatrzy, zobaczy,
Jedyną przystań przed nędzy upiorem,
Jeśli skalany, kłócąc się z honorem,
Z Bogiem, i z ludźmi, w szale dzikiej chuci,
Złego się imie, na zbrodnię się rzuci,
I, w tej straszliwej karjerze, o Panie!
Zajdzie do galer, lub na rusztowanie,
To, los ten jego słusznym zwąc odwetem,
Jak nam Bóg miły, nie pośpieszym z wetem!

Od ogólników abstrakcyjnej treści,
Do zaniedbanej wracając powieści,
Posępny wątek pierwszej jej połowy,

Krótkiemi tutaj dosnujemy słowy.

Jak tyle innych, jak setki, jak krocie,
Siostrzyc jej w nędzy, w sieroctwie, w ciemnocie,
Dziewczę z poddasza, zadziwiż to kogo?
Ku tej że mecie, tąż pomknęło drogą.
Myśli na zbytnie nie kładnąc tortury,
Tuszym, iż słuchacz przewidział to, z góry,
I nader w drobne ubodzy detale,
Służyć mu niemi, nie kusim się wcale.
Mniejsza też w summie, czy wieczór, czy z rana,
Oko się jego, z okiem Don-Żuana,
Źbiegło raz pierwszy. Mniejsza, czy ten młodzian,
Ładną miał fizys, i jak chodził odzian.
Mniejsza, to rzeczą zda się oczewistą,
Czy był kupczykiem, czy też biuralistą,
I czy fraz jego zdawkowa moneta,
Była pożyczką, z « Feydeau » czy z « Feuillet'a ».
Jak rzecz się stała, śmiało, bez bojaźni,
Niechaj to każden, pędzlem wyobraźni,

Według swych gustów, dokreśli, gdy zechce,
Pióra naszego praca ta nie łechce!

Fakt dopełniony, przecz więc dłużej czekać?
Przecz, z toni brudu, brudy te wywlekać?
Przecz się wpatrywać w rzeczy, nie konieczne
Dla sensu książki, a z pięknością sprzeczne?
Wiemy zapewne, iż jest kędyś szkoła,
Wzięta, niestety, wśród czytelnych koła,
Która, celując w opisach tej treści,
I laury zżyna, i zarobek pieści.
Wiemy zapewne, jest piszących rzesza,
Co, z tym towarem, wciąż na targ pośpiesza,
I, pod pozorem sztuki a morału,
Sprzedaje ludziom zgubny wyskok kału.
Lecz chociażbyśmy, ni dziś, ni w przyszłości,
I ladajakiej nie znali wziętości,
Lecz chociażbyśmy, innym idąc torem,
Na zawsze, z zysków minęli się worem,
Pod grozą waszych faworów utraty,

Ni za honory, ani za dukaty,
Nie pójdziem pióra, aczkolwiek nędzarze,
W złote tych panów tykać kałamarze!

Kto więc tu szukał, tych wdzięków, tych czarów,
Jakiemi kartki lśnią, « Assomoir'ów »,
Jakiemi « Fanny », w cześć, i w sławę wzrasta,
Ten się w rachubie pomylił, i basta. —

Niech wam kto inny podniebienie droczy,
Pieprzem Kajeńskim. My odwrócim oczy. —

OBRAZEK VI

—

DRUGA

Tutaj o muzo, na moment, na chwilę,
W lekkość się ubierz, skrzydła wdziej motyle,
Przed loty twemi, oto się odkrywa,
Lśniących salonów, lśniąca, gładka, niwa.
W bród kwiatów wszędzie, wszędzie świateł morze,
Dźwięk hucznych kapel w wonnym brzmi przestworze,
Brylantów rzeki barwną skrzą się tęczą,
Koronki siatką falują pajęczą,
Do w gwiazdy, w wstęgi, strojnych panów łona,
Śnieżne tancerek tulą się ramiona,

Nóżki ich, w biały trzewiczek obute,
Na śpiewną walców ślizgają się nutę,
W czarach z kryształu, rzeźwiące napoje,
Roznoszą służby wyzłacanej roje,
Rój jej u wejścia, gdy tłum gości rośnie,
Nazwy wchodzących wygłasza donośnie,
« Książe! Graf! » gromko « Baron! » nieco ciszej
Słuch, to li łowi, ucho, to li słyszy,
Obok tytułów, dźwięczą dygnitarstwa,
Więc : « Ambasador takiego mocarstwa! »
A więc : Minister takiego portfelu!
« Jenerał! » wreszcie, tych ostatnich wielu.
Słowem, co tylko na świecie połyska,
Godnością, mieniem, splendorem nazwiska,
To wszystko, goniąc we wrót tych krawędzie,
W salonach onych było, jest, lub będzie.

Jeśli kto ciekaw postawi pytanie,
Co ich tam ściąga? Skąd takie zebranie?
To my mu na to, dosyć tej przyczyny :

Margrabia córce sprawia zaręczyny.

Tak jest. Czas bieży. Kapryśnica mała,
Co wczoraj jeszcze zabawki łamała,
Co śmiechy swemi, zgłuchłyż już w westchnienia?
Zaspane dworcu budziła sklepienia,
Paniątko białe, świeżuchne, rumiane,
Złotych kędziorów kaskadą owiane,
Na hożą pannę wzrosłszy bez mitręgi,
Do ślubnej, z kimści, staje ot przysięgi.

Iż jedynaczka, nie tylko tytuły,
Ale i źbiory ojcowskiej szkatuły,
Posagiem, w przyszłe przynosiła stadło,
«Faubourg St. Germain, » w spazmy żądzy wpadło,
Ilu li w wnętrzach sterczących tam gmachów,
Było, tak młodych, jak nie młodych gachów,
Tylu się razem, do korzystnych swatów,
Mniej, więcej, godnych, źbiegło kandydatów.
Wybór był trudnym. Kto przeważył szalę,

O tem nam wiedzieć, nie potrzeba wcale,
Przymioty serca, umysłu, lub ciała,
Szczęśliwca, co go panienka wybrała,
Żadnego wpływu, autor wam to wieści,
Na dalszy rozwój nie mają powieści,
Któżby z tych zresztą, którzy, choć z oddali,
Paryskiej « fashion » zwyczaje poznali,
Któżby z nich, dziwak, twierdzimy to śmiele,
O takie błahe pytał bagatele?
Taką a taką kwotę biorąc wiana,
Gdy ta w kontrakcie intercyzowana,
Czy tyleż swego, jasno, bez zagadki,
Do tej sumiennej włożył także składki?
W takie a takie rodu wchodząc blaski,
Czy w liku przodków, sam też, z królów łaski,
Miał choć jednego, patrzcie w dziejów księgi,
Strojnego w tytuł, a w orderów wstęgi?
Oto są kwestje, których rozwiązanie,
Młode dziś, tutaj, rozciekawia panie,
Oto są kwestje, na które, panowie,

Niech wam notarjusz, niech herbarz, odpowie.

Radykałowie! Skrajni! Komuniści!
W waszej ku formom świata nienawiści,
W waszej przeciwko prawom jego wojnie,
Ręce na piersi skrzyżujcie spokojnie!
Przecz bowiem kruszyć, co się wali same?
Szturmem, otwartą, przecz zdobywać bramę?
Przecz tam waszego moc tężyć ramienia,
Gdzie dość poczekać? Gdzie dość chwilki, mgnienia,
By ten wam wrogi ustrój społeczeństwa,
Sam siebie zbytkiem uśmiercił błazeństwa,
Pod stopy swemi, co na w pół przegniłe,
By sam dla siebie, wykopał mogiłę?
Spojrzyjcie! Wszystko, czem on stał przed laty,
Czem w siły wzrastał, czem zdobywał światy,
Czem wam się bronił, i zwycięzko nieraz,
W jakie się cacka przetworzyło teraz:
Religja? Patrzcie! Co z niej dziś zostało?
Forma, bez treści, i bez ducha, ciało!

Arystokracja? W co się ta przemienia?
W słowo bez sensu, w pusty dźwięk imienia!
Rodzinne związki? Małżeństwo? Podstawa,
Wszelkiego ongiś porządku, a prawa,
Có z nich? Co? Płaskich ambicyjek meta,
Istny handelek, istotna tandeta!

« Kogo Bóg Sędzia skazać chce na plagę,
Temu zawczasu odejmie rozwagę! »
Stare przysłowie, które, hej! daleki,
Świat pogan ongiś wymyślił, przed wieki,
A które, zmogłszy czas, co wszystko łamie,
Dziś jeszcze często, prawdy nosi znamię.
Tak. Rzec by można. Jest gdzieś za chmurami,
Jakieści « fatum », co kieruje nami.
Tak. Rzec by można. Są wyroki doli,
Z pod jarzma których nikt się nie wyzwoli.
Gdy przyjdzie chwila, godzina wybije,
Wnet wzrok rozsądku jakaś mgła nam kryje.
Darmo historja, mentorka stuleci,

Przykladów słońcem w oczy ślepym świeci,
Darmo, ach, darmo, wołanie na puszczy,
Skargi proroków, brzmią przestrogą tłuszczy ;
Ta, nic nie widzi, nie słyszy, szalona,
Jak trzoda owiec, pożarem strwożona,
Miast wstecz się cofnąć, na kupę się ściska,
I skacze wreszcie, w sam środek ogniska!

Na płonnych wniosków wyjeżdzając drogę,
Myślicie może, iż dzwonim na trwogę,
Iż zwolennicy namiętni przeszłości,
W strachu przed jutrem, wołamy : Baczności!
Zgoła! Przeciwnie! Jutro nas nie lęka!
Widząc, jak jakaś niewidoma ręka,
Zbutwiałe gmachy dni wczorajszych kruszy,
Nie żal, nadzieję, odczuwamy w duszy!
Postęp uznając prawem wszechstworzenia,
Nie szwanków żadnych, udoskonalenia,
Od przyjść mających czekamy przewrotów,
Słysząc zdaleka stuk olbrzymich młotów,

Co burząc stare, coś nowego wznoszą,
Iż będzie lepszem, wierzymy z roskoszą.
W jakie się formy przyszłość nie ubierze,
My je, zawczasu, przyjmujemy szczerze,
My k'nim, zawczasu, chętne kłonim ramię.
W przejściowej chwili zrodzeni, na złamie,
Dwóch skrajnych epok, dwóch aktów dramatu,
Jeśli, na widok wczorajszego światu,
Co w proch upada, nie możem, wzruszeni,
Powstrzymać krzyku, gdy ten brzmi w przestrzeni,
Wy w nim pojmijcie, potrzebaż tłumacza?
Nie jęk Kassandry, oklask spostrzegacza!

Stare praojców rzucając siedlisko,
Z Panem X (cyfrę, przepraszam, nazwisko,
Postawcie tutaj, jakie wam się nada,)
Przemianie stanu, zwykle młodość, rada,
Margrabianeczka, dziś.... no, niech hrabina,
Perjod swobody małżeńskiej zaczyna.
Swobody? Tak jest. Czemuż się dziwicie?

Jest że gdzie panna, coby w duchu, skrycie,
Jeśli nie jawnie, (etykieta wzbrania,)
Naszego o tem nie dzieliła zdania?
Iż słowo ojców, « węzły » postarzało,
Że je na inne źmienić by się zdało.
W ślubnej albowiem, z tym, lub z owym parze,
Przed poświęcane stanąć dziś ołtarze,
Nie jest, bynajmniej, jak sądzi prostota,
Związać się, sprzęgnąć, na resztę żywota.
Nie jest, bynajmniej, jak się zdaje komu,
Stek obowiązków, w nowym przyjąć domu,
I treść chwil wszystkich w dwa zespolić cele,
W szczęście dziateczek, i w męża wesele.
Gdzie zaś! Kto widział! Pojść za mąż, to znaczy:
Zbyć się opieki rodziców gderaczy,
Mieć prawo, zyski nieoszacowane!
Stroić się w suknie silnie gorsowane,
Nosić brylanty, na bal lecieć z balu,
Na tłustych sztuczkach, tak w « Palais-Royalu, »
Jako i w « Bouff'ach » jawić się bez sromu,

Być panią wreszcie, w własnym swoim domu.
Oto różowa, świetna, perspektywa,
Jaka się pannom po ślubie odkrywa.
Kędyż w niej węzły? Ni słychu, ni wieści!
Mężatka dzisiaj, to motyl niewieści,
Co, gdy nadeszła przeobrażeń chwila,
Jak z gąsiennicy, z panny się wychyla.
Prr! Dalej, w światy!

Z panem, inne dzieje,
On już przebujał motyle koleje,
On radby nie raz, niechaj wyzna szczerze,
Przysiąść już w kątku, na zimowe leże.
On się ożenił, Bóg to wie dla czego,
By zakosztować owocu nowego,
By szepnąć, « Amen! » szaleństwom młodości,
By, gdy ambitny, jeśli się w godności,
W urzędowaniu, zakochał zdaleka,
Dokończonego mieć pozór człowieka. —
On się ożenił, za familji radą,

W trosce o ród swój, co groził zagładą,
On się ożenił, chciwość z dumą spięte,
By wianem żony zdublować swą rentę,
On, jak się rzekło wyżej o słów parę,
Spełniwszy do dna wszech-użycia czarę,
Zmęczony latek kawalerskich jazdą;
On się ożenił, by mieć ciepłe gniazdo.
Na resztę bytu....

Z dwóch różnych żywiołów,
Z gorączki życia, i z życia popiołów,
Poczwarną, chciejcie, stworzyć amalgamę,
A rezultata wywróżą się same.
Mizernym strzępem zgniłego powrozu,
Na długą podróż, do jednego wozu,
Dwa konie różnej sprzęgnijcie natury,
A gdzie wóz zajdzie, każdy zgadnie z góry,
Alchemik, coby pierwszej jął się sprawy,
Woźnica, drugą pełniąc, dla zabawy,
Truciznę w brzydkiej otrzyma robocie,

Wóz swój roztrzaska, lub utopi w błocie.

Przenośnia jasna, nikogo nie zmyli,
Z tych, co się związkom świata przypatrzyli.
Mowa francuzka, nader żartobliwa.
Mianem je małżeństw, « de raison » nazywa,
« De raison? » Pewno. Trzeba tego wiele,
By dwa tak sprzeczne zgodzić z sobą cele,
Żeby pokumać, gwoli herbom, kiesie,
To, co się cofa, z tem, co naprzód rwie się.
Nie zaprzeczamy. Są wyjątki może,
Są serca w takim trzymane rygorze,
Bywają dusze takim hartem zbrojne,
Że i naturze wypowiedzą wojnę,
Że i ją zmogą, byleby zechciały.
Ale ich poczet samo przez się mały,
Nie mocen służyć modłą dla malarza,
Co, na swem płótnie zwykły świat wytwarza,
I, co, powszednich portrecista ludzi,
Kuć bohatarów darmo się nie trudzi.

Otóż twierdzimy, iż dla tamtych tłumu,
Małżeństwo takie, « de raison » (rozumu),
Często, (zły żarcik czoło nam rumieni),
W małżeństwo, « szału » (déraison) się mieni. —

Póki fortuna, hojna, szczodrobliwa,
Skazy obrazu blaskiem swym przykrywa,
Póty nic jeszcze. Wara światu! Wara!
Niesnaski łoża, bogata kotara,
Ze złota tkana, tuli przed nim szczelnie.
Ciągle na pokaz, świątecznie, niedzielnie,
W uśmiech ubrana, Plutusowa dziatwa,
Udaje szczęście. Czemuż? Rzecz jej łatwa.
Kłótnie hołoty, to nie tajemnica,
Z szynku do domu śpiesząc, pijanica,
Maż, żonę, z wielkim ciemięży łoskotem,
Całe sąsiedztwo wnet świadome o tem;
Żona, w odwecie, przyprawia mu rogi,
Wieść o tem, szybko, w ościenne mknie progi.
Któżby się dziwił? Głośno, bez żenady,

Ten gromi winnych, tamten sypie rady,
Wszyscy, zagadka serca w tem ludzkiego,
Ledwie nie radzi tej klęsce bliźniego;
Między panami rzecz się ma inaczej,
Żadna z stron, drugiej, pięścią tam nie raczy,
Nikt się nie łaje na posłuch gawiedzi,
J choć w przycinku, co się zwolna cedzi,
J choć w spojrzeniu niemem, każdy przyzna,
Większa, częstokroć, tai się wścieklizna,
Niżeli w gwarnym mizeractwa sporze,
Bóg jeden tylko wiedzieć o tem może.
J choć czasami, ktoś z służebnych koła,
Tajnię serc pańskich znurtować podoła,
Chociaż pokątnie, pod sekretem, z trwogą,
Plotkami o niej poczęstuje kogo,
To wieść tę z dołu, z pogardliwą twarzą
Świat, brzydką czerni okrzyknie potwarzą,
To wieść ta z dołu, w górze tam, u szczytu,
Żadnego zgoła nie znajdzie kredytu.

Tak. Lecz niestety, fortuna, rzecz śliska,
Jak bańki z mydła moc ich codzień pryska.
Życie bez kredki, wystawne, nad skalę,
Najpokaźniejszą, wiedzie gdzie szpitale.
Gdy raz deficyt do kassy się wśliźnie,
Nie długie gody praojców spuściźnie,
Topnieje, niknie, z każdej chwili mgnieniem,
Jak ów lód słońca przygrzany promieniem.
By zwalczyć wroga, obezwładnić plagę,
By biudżetowi zwrócić równowagę,
Trzebaby tęższych i hartu i siły,
Niżli te, w które, nieba uzbroiły
Większość śmiertelnych. Trudniej niż się zdaje
Jest, raz przyjęte przełamać zwyczaje,
Zwyciężyć ciało, duszy przytrzeć rogów,
Zdjąć z onych jarzmo, lecz słodkie, nałogów,
Dać za wygranę godom, ucztom, balom?
Ustąpić z placu bogatszym rywalom?
Zerwać z tym światem, co się wdzięcznie kłania?
Wyznać mu kłopot? Gdzie tam! Pycha wzbrania!

Zbudzić się z drzemki, dzięki, której miło,
Kilka się latek życia przemarzyło?
Poznać oszczędność, statek, pracę, może?
Wzbrania lenistwo! Broń nas Panie Boże!
Lepiej, o! lepiej, licząc na przypadek,
Jakąś wygranę, Bóg wie jakiś spadek,
Żyć jak się żyło i, nadzieja mami,
Dziury w biudżecie, zatykać... długami!

A wtedy « Amen! »

Nie tylko fortunie,
Co, ani, spostrzedz cała w nicość runie,
Ale zarazem, i tym złudnym blaskom,
Maskom spokoju i pogody maskom!
Kwasy serc dotąd butną kryte miną,
Dziś, gdy ta zdarta, jawnie na wierszch płyną.
Iż pusta kassa czerpać nie pozwala,
Mąż na swą żonę, ta na niego zwala,
Odpowiedzialność za grzechy przeszłości,

I obowiązek « in spe » oszczędności.
Pan mówi : « Stroje! » Pani mówi : « Karty! »
Tajny przycinek w przekąs się otwarty,
Pod zawziętości przemienia dyktówką.
Słuchajcie! Słowem już się stało słówko.
Głos się podnosi, niekorzystna źmiana,
W dyszkant u Pani, w bas rośnie u Pana.
Żadna dłoń wprawdzie do góry nie wzlata,
Choć i to bywa na przestrzeniach świata,
Lecz, jak Bóg miły, nie brak im ochoty,
W nerwowe, patrzcie, źwijają się sploty.
Oblicza bledną, oczy sypią skrami,
Zsiniałe usta zgrzytają zębami.
Gdyby nie zbawcza jak na ten raz pycha,
Nie wstyd przed służbą, co szpieguje z cicha,
Nie strach skandalu, rozgłosu, a wrzawy,
Do ostatecznej przyszłoby rozprawy. —
Lecz... te przemogły.

Zawieszenie broni.

Para małżeńska unika się, stroni,
I gdzieś na zewnątrz, zdala własnej strzechy,
Odurzającej szukać mknie pociechy.
Pan w klubie długie spędzając wieczory,
Nie wraca, chyba znużony, lub chory.
Pani przyjmując liczne zaprosiny,
Do domu wita, tylko jak w gościny,
Żeby się przebrać, lub spocząć po znoju.
Zamknięci szczelnie, każde w swym pokoju,
Wspólnicy życia, o gorżka ironjo!
Kiedy się zejdą, z wielką ceremonją
Patrzą na siebie ponuro, ukosem,
Chłodne « Dzień dobry! » cierpkim szepcąc głosem.
A w duszy... w duszy? Kto zbada, kto zgadnie,
Jakie tam jady osiadają na dnie?
Jakich tam przekleństw koncert brzmi ponętny?
Za zawód nadziej, za brzask jutra smętny,
Myłki w rachubie, okpienie się wspólne,
Ukłócia szpilką « en masse » i szczególne,
Za nigdy sobie, winie wciąż drugiego,

Przypisywaną procedencję złego,
Za wątek marzeń wspaniałych stargany,
Jakiej tam zemsty szykują się plany?
Pisać by tomy...

Zbyt nierówne boje!
W walce toczonej przez małżonków dwoje,
Mąż zawsze prawie pokonanym bywa,
Pancerz albowiem, co mu pierś pokrywa,
Ma jedno miejsce stojące otworem,
Pociskom wroga, i zwane... honorem.

Któryż z bywalców, hm! wyższego tonu,
W nowożytnego murach Babylonu,
Któreż z ziarn owsa polskiego, w Paryżu,
Ziarnka, bądź co bądź, udających ryżu,
W licznej « ejusdem farinæ » kohorcie
Sławek Imperji, nie wie nic o « Worcie »?
Tak się zwał krawiec dam pięknych, artysta,
Za suknię wszędzie kosztującą trzysta,

Lub pięćset franków, gdy z jego szła ręki,
Płacono tysiąc szepcąc jeszcze, « Dzięki! »
Jego klientką, jego być klientem,
Najwyższych « szyków » stało się patentem.
Dyktator mody, do swej klienteli
Nie wkreślał hurtem, wszystkich, co by chcieli,
Owszem, wybredny, zaszczycał nią zgoła,
Tylko najpierwsze z elegantek koła.
W stosunkach krągły, w formach nader gładki,
Od swych wybranych, przywileju rzadki!
Nigdy, przenigdy, jak to innych grzechem,
Wypłat gotówką nie żądał z pośpiechem.
Przeciwnie, względny, na wszystko, na wiele,
Na wścibstwo mężów, mężów kuratelę,
Mężatkom, ładnym, piękności pokłońca,
Służył kredytem, zdałob' się bez końca.
I wyznać musim na ostatnich chwałę,
Iż o opinję dobrych płatnic dbałe,
Z rzadkim wyjątkiem, gdzież się te nie plenią?
Jakby mąż sknera nie skąpił kieszenią,

Znalazły zawsze jakiś « Paktol » złoty,
Co, dług krawiecki zmazując do joty,
Pozwalał kredce pracować na nowo.
Znalazły? Kędy? W tem szarady słowo.

Jakkolwiek wstrętni gadkom sprośnej treści,
Wolelibyśmy białą nić powieści,
Czyste nią tylko dzierżgając obrazy,
Dosnuć do kresu, bez plamy, bez skazy.
Jakkolwiek trwożni, bardziej niż o własną,
O duszę sielan czytelników jasną,
Drzymy, by szpetny wizerunek brudów
Nie zapadł w głąb jej, nie skaził jej cudów.
Gdy jednak książka niniejsza, niestety!
Tą tylko drogą dobiedz może mety,
Gdy bez pewnego cieniów tu zgęszczenia,
Nikt by nie pojął celu jej, dążenia,
Zmuszeni w przykrą wdać się entrepryzę
Pióro przynajmniej w srogą ujmjem ryzę.
Niech złe konieczne, twierdzim to ze smutkiem,

Możliwie zwięzłem będzie choć, a krótkiem.

Krążyły słuchy, iż krawiec wsławiony,
Do czasu tylko skrywał swoje szpony,
Iż gdy już która z « Frou-frou » owych czasów,
Znęcona lubym szelestem atłasów,
Na łatwy kredyt jak na lep zwabiona
W długi u niego wgrzęzła po ramiona,
On maskę raptem śląc gdzieś między graty,
Natychmiastowej wymagał zapłaty.
I gdy biedaczka drząc przed furją męża,
Z prośbą o zwłokę dłonie doń wytęża,
On jej... Zaprawdę! Kreśląc rzecz tak brudną,
Gorżko nam w krtani i na sercu żmudno,
On jej projekcik podszeptywał z cicha:
Iż ktoś, co zdawna do wdzięków jej wzdycha,
Gotów jest zaraz, klnąc sekret, milczenie,
Otworzyć kassę na pięknej skinienie.
Gotów jest zaraz, tając tryumf wszędy,
Za moment, chwilkę, poufnej gawędy,

Nie tylko teraz, lecz i później, potem,
Pomiędzy piękną a długów kłopotem,
Tarczę swej możnej podźwignąc kieszeni.
Więc... wolny wybór. Woźny czeka w sieni.
Skarga, trybunał, skandal, wrzawa w świecie,
Lub... Co? Dalipan. Sami odgadniecie.

Ach! Chcemy wierzyć! Podła zdrajcy mowa
Wzgardy najczęściej wyzywała słowa!
Ach! Chcemy wierzyć! Zbłąkane owieczki,
Wprzód nim do takiej rzucić się ucieczki,
Skruszone raczej, we łzach, rozżalone,
W mężów się swoich obracały stronę,
U nich, choć boli krok upokorzenia,
Żebrząc ratunku, pomocy, zbawienia!
Ach! Chcemy wierzyć! Basta! Ideały!

Nie my li jedni, Paryż, jak jest, cały,
Świadkiem przeciwnych bywał rezultatów.
Dość słuch nadstawić rumorom tych światów,

Dość ich stosunkom przyjrzeć się zdaleka,
By, skąd wytryska luksu Pań tych rzeka,
I jakie brudy kryje często na dnie,
Bez wielkich trudów, dowiedzieć się snadnie.
Na księżnę Y. łoży bankier taki,
Hrabinom X. Z. tryumfalne szlaki,
Banknotów zwojem, wyściela ten znowu,
A Baronowa, zręczna do połowu,
Ma dwóch ichmościów, co, wybacz im Panie,
Podobneż przy niej spełniają zadanie.
Hotel Markizy, wraz z kosztownym sprzętem,
Kapitalisty N. N. jest prezentem.
Wice-hrabinej kolja zaś brylantów,
Składkowym darem aż trzech jest szarmantów.
I tak bez końca, dalej, et cætera,
Wiele li nazwisk w « Hozier » się zawiera,
Tyle ich codzień, te salonów lwice,
W sromów na nowo wsławiają kronice,
W księdze rozpusty...!

Myślałby kto może ?
Na prostytucji zbłąkanym bezdroże,
Świat, wcześniej, później, gdy się o tem dowie,
Ciśnie swą klątwę, « Precz nierządne! » powie,
I odgradzając zdrowych owiec stado,
Od tych, zarazy dotkniętych szkaradą,
Skołowaciałym, jak wymaga cnota,
Przymknie na zawsze salonów swych wrota.
Iluzje! Mrzonki! Świat, który, tam, w dole,
Upadłe nędzy, ciemnoty, pacholę,
Bez względu na nic kamienował srogo,
Świat bez litości nad dziewką ubogą,
Co się bezwiednie, powieść wykazała
Dwa razy na trzy, uwieść, zhańbić, dała,
Ten sam świat, tutaj, w górze, na wyżynie,
Cały miodami tolerancji płynie,
Nie masz indultów, rozgrzeszeń, wymówek,
Łaskawych względów, miłosiernych słówek,
Którychby dla tych możnych swych pisklątek,
Duszy gdzieś jego nie skrywał zakątek

Dla nich on, dla nich, w rodzicielskim darze
Fałszuje mowę, gwałci dykcjonarze,
Chuć w nich rozwiązłą, mianem chrzci: lekkości,
Fałsz, miłość intryg, nazwiskiem: zręczności,
Cynizm — szczeroty, sprzedajność — rozsądku,
Tym oto trybem, od A, od początku,
Do Z, do końca, złudne etykiety,
Do wszystkich niecnót czepiając kobiety,
Strojnym w nie Paniom, to z rzeczy wynika,
Zwycięzko, szumnie, na oścież, odmyka,
Drzwi wszech salonów...

Ktoś mi może powie,
Świat? Niech tam sobie! Mniejsza! Lecz mężowie?
Mężowie, którym, egzystencja zdrożna
Żon, w oczy, z bliska, bliżej być nie można,
Kole, kłuć musi, co ci mówią na to?
Typów mężowskich na świecie bogato,
Słuchacze mili... Są... bardzo naiwni,
Są... nie do zbytku w kwestjach czci swej sztywni,

Filozofowie... są i spekulanci,
Radzi... hm, temu, iż im dom szarmanci,
Zaopatrują w przeróżne dostatki,
Są, co z wygodnej korzystając gratki,
Podczas gdy jejmość swawoli na prawo,
W lewo motylą harcują wyprawą,
Są też nareszcie i zacniejsi, wierzę,
Którzy, gdy miarka grzechów się przebierze,
Gdy jakimś jawnym zdradzi się excesem,
Separacyjnym kończą rzecz procesem.
Są... Dosyć tego... Miły czytelniku,
Typów mężowskich na świecie bez liku.

Do jakiej klasy, jakiej kategorji,
Należał hrabia, w niniejszej historji
Męża posępną zgrywający rolę,
To niech domysłom posłuży za pole.
Czytelnikowi starczy, tuszym, wzmianka,
Iż w lat po ślubie, pięć, sześć, margrabianka,
Lśniąc już na faktur « Wortowskich » papierze,

Głośno w zalotnej słynęła karjerze
Iż w lat dwanaście, bez czegoś, bez mała,
Czterech bankierów w niwecz zrujnowała,
Iż w lat dwadzieścia... Wstecz! Za skore pióro!
Nie tykaj jutra! Niech drzemie za chmurą!

Otośmy prawie u gawędy kresu.
Wsze memoranda i akta procesu,
Zszyte w wolumin leżą na ławicy,
Pod strażą czujnej woźnego źrenicy.
Teraz, gdy strony zejdą się naocznie,
Trybunał sesję ostatnią rozpocznie.
Tym trybunałem, wyście o łaskawi!
A autor, który przed wami się stawi,
Przeciwko temu gardłując, lub za tem,
W światły wasz wyrok ufnym adwokatem!

EPILOG

—

KTÓRA?

Na dworze chłodno Wicher zimowy
Hula ulicą. Z dachów, na głowy
Rzadkich przechodni, kominy zmiata.
Lepkiego błota warstwa pstrokata,
Pokrywa wszystko : kamienic ściany,
I ubogiego płaszcz zaszargany,
I możnych panów złote karoce.
Kropla za kroplą deszczyk plugoce.

Mgłą się brudnawą przestrzeń odziewa,
Listopad, Paryż, wieczór, ulewa,
To tło na którem, wszystko nam wieści,
Jak się zaczęła, kończyć powieści.
Akt jej ostatni, co go wnet damy,
W te same smętne oprawny ramy,
Do szarej barwy przywykłe oczy,
Żadną jaśniejszą wam nie podroczy,
I powieść cała, źwiteczek cieni,
Mrocznej i dżdżystej produkt jesieni,
Z nią też pospołu, któż się użali?
W tej niepamięci utonie sali,
Kędy źnikomym toną szeregiem,
Śnieg przeszłej zimy, z zaprzeszłej śniegiem.

Pomimo deszczu, drwiąc z niepogody,
Tam, na bulwarach, wieczyste gody.
Paryż hulaszczy, ósma godzina,
Życiem wieczoru kipieć zaczyna.
Sklepy gazowym stroją się wiankiem,

Za przypadkowym goniąc kochankiem,
Śmiało a zręcznie (w kole ziemianek
To monopolem jest Paryżanek)
Anti-Westalek ulicznych rota,
Rzekłbyś po wierszchu śliżga się błota.
Kawiarnie gości czernią się tłokiem,
Ciemno-brunatnym kawa potokiem,
Płynie bez przerwy, a na przemiany,
Tam w filiżanki, tam w mazagrany.
Słychać stuk kości, kart szelest głuchy,
Kul bilardowych po suknie ruchy,
Krzyki garsonów, śmiech różnej nuty,
To politycznej echo dysputy,
To coś jak całus. Znów na ulicę
Huczą tam fiakry, śpici woźnice,
Łają się z kozłów i grożą biczem,
Tam ich policjant z groźnem obliczem,
Rozbraniać śpieszy. Gdzie kiosków rzędy,
Stosy dzienników bieleją wszędy.
Gdy ważnych nowin krążą nadzieje,

Pod latarniami, chociaż deszcz leje,
Przy świetle bladych gazu płomyków,
Ciekawych wszędzie moc czytelników.
Wieczorna giełda, kędy pasaże,
Garbate nosy i śniade twarze,
Zgromadzać zwykła, lud Izraela
Handlowych wieści sobie udziela.
Rad natłokowi, i to też bywa,
Klan rzezimieszków szuka tam żniwa.
Ruch i huk wszędzie. Ot, jednem słowem,
Życiem być może, złem, gorączkowem,
Życiem, co w sobie śmierć rychłą kryje,
Lecz żyje Parpż... Ha! Niechaj żyje!

Przed teatrzykiem » Rozmaitości »
Ledwie przejść można, taki tłum gości,
Olbrzymich kształtów afisz różowy,
« Dziś, Malabarskiej » ogłasza « Wdowy,
Pierwsze w teatrze tym przedstawienie »
I « Pani Sznajder będzie na scenie ». —

Co za ponęta! Z złotej młodzieży
Kto się szanuje, kto w Boga wierzy,
Kto rozporządza ludwików parą,
Musi mieć fotel pod hańby karą.
Sznajderkę w roli zobaczyć « Wdowy »
Z całego świata, z świata połowy,
Termin francuzki gdy spolszczyć mamy!
Jak na wyścigi śpieszą się damy.
Dyrektor trupy zaciera dłonie,
Kasjer w swej budce, rzekłbyś na tronie,
Jak tryumfator do góry rośnie,
I « Miejsc już niema! » wtórzy radośnie.
Obok, w kawiarni, za wściekłe ceny,
Garson ostatnie zbył straponteny.
A tłum wciąż płynie, jak owiec trzoda,
Co jej pastuchem wziętośc a moda.
A tłum wciąż płynie, gotów, nie żarty,
O lada miejsce, bój zwieść zażarty. —

Więcem też poszedł... Mój czytelniku

Wstrzymaj się proszę w połowie krzyku!
Patrz, nie jednego wskażę plebana,
Co z kazalnicy, parafji, z rana,
Jak żyć należy pięknie tłumaczy,
A sam, wieczorem, żyje inaczej. —
Lepszym od niego ja się nie mienię,
Rzecz nader łatwa drugich uczenie,
Więc to potrafję, trudniej o wiele
I za kościołem być jak w kościele,
Tego nie zdołam. Z tej to przyczyny
Szczerze wyznane daruj mi winy,
I w interesie naszej powieści,
(Myśl o jej końcu duszę mą pieści)
Pozwól bym poszedł, Brawo! Pozwala!
Grze Pani Sznajder przyklasnąć zdala.

Poszedłem zatem. Et! Po niewczasie!
Zamknięte tylko okienko w kasie,
Na dłoń mą w której ludwik podzwania,
Wzrokiem rzuciło politowania.

Cerber kontroler, na dźwięk mamony,
Zazwyczaj grzeczny i uniżony,
Dziś gdym doń z prośbą o wstęp wymierzył,
Drwiącym uśmiechem zęby wyszczerzył,
I potrząsł głową. Wściekły, ponury,
Kołnierz od płaszcza wzniosłsy do góry,
Parasolowe rozwodząc rogi,
Już niegościnne teatru progi,
Opuszczać chciałem, gdy, tłum co wchodził
Drogę mi ku nim raptem przegrodził. —

Jak tu nie wierzyć jest w przeznaczenie?
Pomyślcie tylko! O chwilki mgnienie,
Wyszedłbym wcześniej, a, powieść cała,
Co ją czytacie, miejsca'b nie miała.
A stąd dla sztuki, dla was, dla świata,
Do obliczenia jak trudna strata!
Pomyślcie tylko! Lica wam zbledną!
Tam, na Parnasie, mniej gwiazdą jedną.
W wianku laurowym na naszej skroni,

Mniej jednym listkiem! Niechaj Bóg broni!
W bibliotek waszych wreszcie skarbniku,
Mniej jedną perłą! O czytelniku!
Wraz ze mną dzięki składaj tłumowi,
Kasie zamkniętej, kontrolerowi,
Jesieni, słocie, Sznajderce, Bogom,
I parasola mojego rogom,
Tym bagatelkom zda się z pozoru,
Z których jednakże spójni a zbioru,
Byt swój wyniosło, początek wzięło,
Liry ot naszej, te arcydzieło!

Rad nie rad zatem, o mur oparty
Zdecydowany na chwilę warty,
Stać tam musiałem, surowe, z góry,
Nad usterkami architektury,
Robiąc uwagi, i, wyznać muszę,
Pod przechodzących dam kapelusze,
Zerkając tkliwie, choć bez kozery.
Kiedy wtem głośne u wejścia szmery,

Ściągnęły k' sobie, moc przeznaczenia,
Łaknące wrażeń moje spojrzenia.

We drzwiach wchodowych, dwie piękne panie,
Na praw fizycznych się potarganie,
Pokusić chciały; w wązkim przesmyku,
Dwie krynoliny, spódnic bez liku,
Bez liku falban, mieszcząc zarazem.
Niegrzecznem klamek, rygłów, żelazem,
Ujęte z boku, w szerokiem kole,
Własnych swych sukień, splątane w dole,
Wstydem przejęte, zmieszane, w tłoku,
Ani to naprzód, ani wstecz, kroku,
Zrobić nie zdolne, stały tam chwilę,
Bym się im przyjrzeć miał kiedy, tyle. —

Choć Paryż wielki, ludzi w nim sporo,
Poznać go jednak na wylot skoro,
To co w nim świeci czemśkolwiek zwłaszcza.
Setka cię gazet dziennie ugaszcza

Najdobitniejszych detalów strawą,
Z życia tych wszystkich, co, jakieś prawo
Mają do sławy: Kuglarz, poeta,
Minister, bankier, piękna kobieta,
Możny pan, książe, wielkiej stolicy,
Stugębnej famy, ci niewolnicy,
Na wszem odkrytej żyć muszą scenie.
Ten się ożenił, ten stracił mienie
Ta ma kochanka, ten pojedynek,
Ten chory, umarł, chciwy nowinek,
Gród nad Sekwaną, wie wszystko zgoła.
Lada dziennikarz, patrząc dokoła,
Czy to w teatrze, czy to w kościele,
Do każdej twarzy, pokaźnej, śmiele,
Coś ci przyczepi, z każdego życia,
Coś ci wywlecze na jaw, z ukrycia.
Dodając czasem, kłamiąc być może,
Toć ich rzemiosło, pług, co im orze,
Lecz też i prawdę, wszystko się zdarza,
Ciągnąc ze studni, vel z kałamarza. —

Nikogo zatem nie zdziwi przecie,
Iż od lat tylu Paryskie śmiecie,
Depcąc codziennie, w skrzętnej pamięci
Schowam coś z tego, co się w niem święci,
Nikogo zatem nie zdziwi, sądzę,
Że gdym ujętym we wrót wrzeciądze,
Dwóm onym paniom przyjrzał się z bliska,
Mogłem, nie tylko znać ich nazwiska,
Lecz też i z życia jednej jak drugiej,
Sklecić summarjusz, wierny, choć długi,
Coście go właśnie, nazbyt wytrwali,
W szesciu rozdziałach, tu, przeczytali.

Były to nasze dwie heroiny,
Córka Żebraczki i magrabiny,
Z dwóch stron przeciwnych, z dołu, ze szczytu
Z życia Nadyru, z życia Zenitu,
Jako to z toku gawędy wiecie,
Ku tej że samej przybiegłe mecie,
I dłonią losu, mój czytelniku,

Jak pod pręgierzem, we wrót przesmyku,
Zetknięte razem, na sądy wasze.

Adwokat, biodra togą opaszę. —

Zręczniejsza, córka rodowych pleśni
Pierwsza się z zdradnej wyrwała cieśni,
I rosnąc w górę na szczudłach pychy,
Zbrojna w godności ostatek lichy,
Tamtej, plebejce zanadto hardej,
Rzuciła chłodnym wzrokiem pogardy.
Blade jej usta wściekłość wypręża.
Świszcząc jak pocisk, jak żądło węża,
Z ust tych zaciętych, nad tamtej głową.
Jedno li tylko, a krótkie, słowo:
« *Drolesse!* » *wybiega.* —

Nic nie wiem dalej.
Tłum resztę sceny połknął w swej fali. —

« *Drolesse!* » *szepnęła Margrabiów córa...*

Adwokat, rzecznik, pytam się: Która?

KONIEC.

SPIS RZECZY

Powstaniec--poeta.

(Józef Szczepan Jaxa-Chamiec, emigrant w 1863 r.)

—o—

Mieć Hranie, na Wołyniu, i Mosty i Ostrów, na Polesiu, a później być władcą dóbr w Auteuil i Vosges, posiadać pałac przy rue Balzac w Paryżu, będąc kuzynem tego Balzac'a; jednak wszystko, co „później", to już za cenę rozstania się na zawsze (!) z Hraniami, Mostami, Ostrowem — na to trzeba było mieć wolę poświęcenia siebie dla idei.

Był w powstaniu Józef-Szczepan Jaxa-Chamiec, i po przegranej emigrował na obczyznę.

Jeszcze go pamiętają w Auteuil i Vosges; a na Wołyniu, w gniazdowym ziemiaństwie tylko wspomną w starszym pokoleniu, że poszedł w las, w 1863 roku, żołnierz-szeregowiec, co później pisał wiersze, patrząc na Wołyń z daleka.

Józef Szczepan Jaxa-Chamiec, syn Szczepana i Emilii z Boreyków, przyszedł na świat w Hraniach, w 1842 r. Pierwszy raz na dłużej opuścił dom rodzinny, gdy wyjechał „do szkół" w Równem — wtedy zaczął układać pierwsze swoje rymy.

A potem na uniwersytet w Kijowie.

Znawca tych dziejów, Agaton Giller, pisał, że wtedy „polityczne życie Polski się przeniosło prawie całkowicie do Kijowa".

Dziesiątki kół, kółek, szerzyło się na powierzchni tej, zdało się, toni życia, w „prowincyach zabranych". Tak zwani „Purytanie", „Mnichy", „Żyrondyści" — zawiązali wkońcu „Ogólne zebranie". Była organizacya systemem trójek (jeden dobierał dwu), były kółka dzielnicowe albo nawet ludowe „narodowościowe": podolskie, ruskie, litewskie; potem, kółka takie nazwano „gminami". Rej wodzili panowie Stefan Bobrowski, Władysław Henszel, Romuald Olszański, Milowicz, Popowski.

Józef Jaxa-Chamiec znał ich wszystkich, studiując prawo, uczęszczając na tajne wykłady fechtunku, strzelania, jazdy konnej, organizowane przez Olszańskiego.

8 maja 1863 roku, wybuchło powstanie na Rusi. Akademicy polscy wyszli z Kijowa; jedni z bronią w ręku, inni niosąc „Złotą hramotę".

Ilu zginęło w lasach radomyskich, albo we wsi, nazbyt poetycznie zwanej: w Sołowiówce — o tym powiedziano w pracach Zygmunta Kolumny, Zielińskiego, Romanowicza, Gawrońskiego; zapisano tam oficyalnie, historycznie.

Pochyliła się „czerwona kalina", aby liście i gałęzie zczerwienić, gdy kładli się na niej ludzie ranni albo martwi.

Trzeba przypomnieć, że pierwszy wyszedł z Kijowa oddział Romualda Olszańskiego, któremu towarzyszył Józef Jaxa-Chamiec. W Bereziance, chłopi i „odstawni" sołdaci zmusili garstkę powstańców do odwrotu.

Józef Jaxa-Chamiec, ze swym bratem stryjecznym Antonim, podążył do innych zbrojnych oddziałów. Palffy, Robert Sienkiewicz, Rochebrune i Wojciech Komorowski zebrali wtedy do dwu tysięcy powstańców. Po wyjeździe Rochebrun'a, dowództwo objął Komorowski, górnie przez poprzednika przedstawiony podkomendnym: „Héros, je vous rends au commandant Komorowski".

Nowy dowódca, były oficer austriacki, znany z męstwa okazanego w bitwie pod Montebello, nie mógł, w trudnych warunkach partyzanckich, stosować teorii, i doświadczenia nabytego w wojnie austro-włoskiej. Nie udała się „wyprawa porycka" i Komorowski zawrócił, aby przez miejscowość Samowolę wycofać się za granicę austriacką. Jaxa-Chamiec zręcznie przemknął się do Brodów, lecz tam aresztowany, skazany został na więzienie w twierdzy ołomunieckiej; szczęśliwym wypadkiem, udało mu się zbiedz w drodze do miejsca kaźni.

Pod Kijowem zgasła Złota Hramota, pochylona Czerwona Kalina miała, po latach, unieść się, jako żagiew ruskiej pieśni, wrogiej Polsce.

„Czerwona kalina nasza Ukraina"... — Były powstaniec, ścigany przez cesarsko-królewskich, ukrył się nie w jarach prowincji, lecz w polskim Lwowie, gdzie zaopiekował się nim Kornel Ujejski.

Przyjaźń tego poety odnowiła w młodym emigrancie zamiłowania literackie. Pierwszy wiersz: z datą 6 maja 1864 roku.

Później Monachium, tak świetne wówczas polskim przedstawicielstwem artystycznym — malarzów, cyganerii; potem, Mannheim, Heidelberg, gdzie mieszkał Asnyk, wywarły wpływ, kształcący ostatecznie naszego wołynianina.

Józef Jaxa-Chamiec, tak wybitnie, charakterystyczna postać swej epoki. Tworzył go — czas życia: kwitnąca ziemiańskość kresowa, entuzjazmy powstańcze, i atmosfera życia bogatej beztrosko Francji, gdzie on, emigrant polityczny, należał do elity... Arystokracja, życie wysokiej burżuazji, niknące od wielkiej wojny, 1914 roku. Tak żyć, teraz jest chyba niemożliwe, nawet i tam, ale to było życie bogate, nawet piękne. Bo odważne zawsze. Gdy Józef Jaxa-Chamiec umiał samodzielnie stanąć ponad okoliczności, i uczuwał: „W cudzym pałacu żal za swoją strzechą".

Piotr Chmielowski pisał niegdyś o Chamcu: „...Utwory jego odznaczają się ładną, czasem zanadto wyszukaną formą".

„On pisał małe arcydzieła pełne szczerości" — mówi prof. Wacław Gasztowtt.

Jakaż odległa epoka, którą pamiętają wszyscy biorący udział w późniejszych przełomach. — Wielki pan, były szeregowiec-powstaniec, emigrant, literat, esteta, i zawsze — wielki pan, żył w świecie budowanym, na pozór, trwale i pięknie.

Wówczas polski pan jeździł na lato do Vosges; wiosnę, jesień spędzał w swojej ślicznej willi w Auteuil; tłómaczył poezje francuskie i pisał wiersze oryginalne. Musiał być człowiekiem swojej epoki. Przymus — jak zgrzyt. I dlatego zamęt, w nutach pomyłka lub szarzyzna w wierszach, pisa-

... Niemiec, zastali tam gorsze warunki socjal-

W 1935 r. wykonano przy budowie tej linii robót

po poł. „Tessa" z Barszczewską i Ziembińskim.

nych „czasem zanadto wyszukaną formą..." „pełnych szczerości". Sam autor nie pojmował siebie.

Zawsze przecież najlepsze opisy stron rodzinnych: poemat „Kijów" i „Dąsy starego patrioty" (tytuł nie odpowiada treści) i „Polesie".

Pierwszy z tych utworów, dedykowany Ernestowi Pauszy, „dawnemu koledze z uniwersytetu św. Włodzimierza".

— „Kijów przed nami, Kijów prastary!
Gród monomachów u Dniepru fali.
Stopami w mroczne grzęznąc pieczary,
Stu kopuł złotem w górze się pali.
Kijów, przed nami! U stóp kolumny
Włodzimierzowej, gdzie zjazd ku rzece;
Padół na lewo, kupiectwem tłumny,
Jak ustawiczne roi się wiece..."

Obrazy szerokie, a wyraźne (czasem załamanie rysem zbytecznego słowa cudzoziemskiego: „centr", „plutokracja"); opis jedynie, a pełen uczucia. I przez to jest poetą Jaxa-Chamiec.

Poemat opisowy „Polesie" okazuje najoczywiściej krzywdę oddalenia pisarza od źródeł jego natchnień. Stało się, że twórca, który byłby prawdziwym piewcą Polesia, jedynym obok tylu, czerpiących z nastroju Ukrainy albo Litwy, był wygnańcem.

— „Dawnom już cię nie widział, strono ma ojczysta.
Dawnoś już znikł mi z oczu, leśny krajobrazie!
Pomiędzy mną i wami zwisnęła fałdzista
Opona lat czterziestu..."

Zawsze wiedział, że tam są: barcie, kobiałki, piece osmolone, „krąglaki", „prazdniki", „diady".

— „O, ty własna moja! Czyś ty piękna, czy brzydka nie wiem! — Wiem, że twoja taka, jaką jest przestrzeń przed mym dziecka okiem, pierwszym się cudów świata rozległa widokiem..."

Tak zwane: „Dąsy starego patrioty", wydane w Paryżu z dokładną datą wydania: „Dnia 2 września 1873 roku". W przedmowie autor pisze o swoim stryju, którego wspomnieniem ma być ten utwór.

Za iluż swoich braci powiedział tak poeta, piszący o swojej ziemi:

„Bom ja w niej nie jest niepotrzebnym sprzętem, polipem tylko, co nie swoje zjada; bom ja w niej ścięgnią i przymierzem świętem, co piersi wnuków wiąże z piersią dziada. Bo mnie z niej wyjąć nie można bezkarnie..."

A miał przecież willę w Auteuil, na lato jeździł do Vosges; bywał w Biarritz i Juan-le-Pin; miał dziedziczyć po ciotce hrabinie Jerzowej Mniszchowej, pałac przy ulicy imienia Balzac'a w Paryżu, i był przez hrabiów Mniszchów powinowatym tego Balzac'a, żonatego z Eweliną z hrabiów Rzewuskich I-o voto Hańską.

— „...W cudzym pałacu żal za swoją chatą..."

Więc to nie było życie łatwe. I w pracy Józefa Chamca zgrzytem dźwiękła świetność obcego otoczenia: skażona często forma wierszy nalotem cudzoziemskich wyrażeń prozaicznych; drga niepokój człowieka wygnanego; wszelka stronność zaciekawień i spostrzegawczości, bez świadomości poetycznej, czynią wiele utworów publicystyką wymowną. Nieraz jednak przejawi się uczucie cudnie szczere: — „Nie! ja tak wielkiej nie pragnę ofiary! Ty mię nie kochaj! Ja nie żądam tego..."

W 1869 r., pierwszy tomik, wydany u Gubrynowicza we Lwowie: „Próby rymotwórcze", potem przez „Księgę sonetów", „Czem chata bogata", „Piosnki jesienne" (1889 r.); aż po „Ostatki z chatki" — wydane pośmiertnie.

Drukował w „Kłosach", w „Bluszczu", „Nowinach", w „Muzeum" (wyd. w Krakowie).

Szczególne, że talent opisowy, a pełen uczucia, zapadał w publicystykę; zamiast doskonałego artykułu pisał często wierszowane rozumowania, mając wszelkie dane, aby stać się publicystą historiozofem pierwszorzędnym, jak później był Eugeniusz Starczewski.

Ale widzimy jego tak piękne:

„...jak gdyby tafla przezrocza kryształu
W jednej olbrzymiej wyciosana bryle.
Wczoraj, nie dawniej, istny obraz szału
Wzburzone morze ścichło dziś przez chwilę..."

Z wierszów „społecznych", jedynie „Hymn ciemiężonych", poświęcony Marii Konopnickiej, to szczera poezja, i nie tylko retoryczna, wiersz silny i mądry:

„Choć źrą w cyrkach lwy,
Choć źre płomień, o Nerony!
Któż w zapasach zwyciężony,
On? czy wy?"

Podobnie, naśladownictwo z obcego poety:

„Huragan bomb, kartaczów przeleciał szalony...
Jedna tknęła krucyfiks na Kalwarii szczycie,
Drzewo Krzyża na miazgi w wszystkie prysło strony.
Chrystus ze spiżu, jeden, cudem ochroniony,
Jak stał wprzód, tak nadal, sztorcem tkwi w błękicie."

Tłómaczył Jaxa-Chamiec poezje Wiktora Hugo, Sully, Prudhomme'a, Montesquiu de Fesensac'a Gautier'a. Przełożył też na polski „Prawem miecza" Richepin'a, „Romantycznych" Rostand'a, „Starość don Juan'a", Mounet-Sullye'go i Barbier'a; a zaczął tłómaczyć z polskiego na francuski „Karpackich góralów".

To przed rokiem 1914-m. Cała Europa wypysznia-ła dobrym bytem, więcej niż siedmiu lat tłustych. Cesarski burżuazyjno-policyjny świat podobny beztroską do demo-liberalnych republik turystycznych przy Alpach i na Rywierze. A oto piękny pan (emigrant), żonaty z francuską szlachcianką Bellaire de Mirecourt, jest założycielem polskiego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Paryżu, jeździ do Auteuil i Vosges; wydarzenie sezonu: corso kwiatowe w Biarritz, król Edward VII gra w tennisa w Wiesbaden.

19 sierpnia 1915 roku, zmarł Józef Szczepan Jaxa-Chamiec „poéte et soldat polonais". Wśród zebranego tłumu, pożegnali go przyjaciele, znajomi Eddy-Lévi, poeta belgijski, p. Courtois de Malleville, p. Gasztowtt. Wspomniano o nim na łamach „Polonii" oraz „Bulletin polonais"; imieniem jego nazwano ulicę miasta Mirecourt w Vosges.

Miłosz Gembarzewski.

PARYŻ
Z DRUKARNI D. JOUAUST
Ul. Saint-Honoré, 338
M DCCC LXXVIII